

Jerzy Edigey:

NIECH PAN ZDEJMIE RĘKAWICZKI:

WIELKI SEN 2010

Redaktor serii Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii Rafał BARTLET

Redakcja techniczna Anna LEWANDOWSKA

Korekta Aleksandra BIŁY

© Jerzy Strzałkowski

ISBN 978-83-62391-12-7

Wydawnictwo WIELKI SEN Al. Jana Pawła II 65/90, 01-038 Warszawa tel. 0-502-322-705

www.klubmord.com, prezesik13@wp.pl

Rozdział I

LIST POLECONY

Ostry dźwięk dzwonka. Eufemia Kwiatkowska, zajmująca najmniejszy w całym mieszkaniu pokój, nawet nie wyjrzała na korytarz. Przecież tylko raz dzwoniło, a na drzwiach wejściowych wisiała karteczka z pięknie wykaligrafowanym czarnym tuszem napisem: Stanisław Kowalski - jeden dzwonek, Eufemia Kwiatkowska - dwa razy dzwonić, Zygmunt Namysłowicz - trzy razy dzwonić. Więc to na pewno do Kowalskich.

Na korytarzu rozległy się człapiące kroki Janiny Kowalskiej, później słychać było zgrzyt otwieranych, dawno nie-oliwionych zamków i za chwilę gderliwe słowa:

- Pani Kwiatkowska! Listonosz do pani. Mogłaby się hrabina sama ruszyć do drzwi.

A za chwileczkę dużo cichsze, ale tak jednak obliczone słowa, żeby je było słychać za zamkniętymi drzwiami:

- Stare próchno!

Pani Eufemia od dawna nie reagowała na tego rodzaju odezwania się swoich współlokatorów. Osiemnaście lat życia w „kołchozie” - dużym mieszkaniu podzielonym pomiędzy trzy rodziny - nauczyło ją niejednego. Przyzwyczała się do pijackich awantur urządzanych sporadycznie przez krewkiego Zygmunta Namysłowicza i do niekończącej się serii szykan Janiny Kowalskiej. Z czasem zrezygnowała z gotowania we wspólnej kuchni. Przeniosła się z dużego, widnego pokoju do tej małej izdebki z oknem, przez które nigdy

nie zaglądało słońce. Do łazienki przemykała się wczesnym rankiem. Starła się być jak najcichsza i jak najmniej widoczna. Niewiele to pomagało. Co najmniej przez piętnaście ostatnich lat Kowalska „wygryzała” ją z mieszkania i nie szczędziła w tym względzie żadnych sta-

rań. Kilka razy sprawy trafiły do sądów i do kwaterunku. Kilka razy wobec tej kobiety, nauczycielki muzyki w Podstawowej Szkole Muzycznej, dopuszczano się ciężkich zniewag, a nawet, jak to określa się w języku prawniczym, „naruszano nietykalność cielesną”. Cóż z tego, że wszyscy przyznawali rację pani Eufemii i że wojowniczą panią Kowalską skazywano na drobne grzywny lub parę tygodni aresztu „z zawieszeniem”. Wkrótce po kolejnej rozprawie na nowo podejmowała wojnę, stosując w niej coraz bardziej perfidne chwytły.

Nic więc dziwnego, że Eufemia Kwiatkowska nie siliła się teraz wyjaśniać, że listonosz zawsze zapomina o „regulaminie dzwonkowym” i ilekroć się zjawia, to bez względu na to, dla kogo ma przesyłkę, swoje przybycie sygnalizuje jednym dzwonkiem. Wielokrotnie nauczycielka prosiła go, żeby przynosząc do niej listy naciskał dwa razy czarny guzik, ale pracownik poczty nie chciał lub też zapominał stosować się do tej zasady, chociaż starsza pani, i to jedynie ona w tym lokalu, przy każdej okazji sięgała do swojej brązowej portmonetki...

- Pani Kwiatkowska, polecony do pani. Ze spółdzielni mieszkaniowej. Proszę tu podpisać - listonosz wskazał odpowiednią rubrykę na arkuszu.

Nauczycielka podpisała, a dwuzłotówka zmieniła właściciela. Doręczyciel podziękował i wyszedł.

Kwiatkowska pomknęła do swojego pokoju, gdzie z niepokojem długo oglądała kopertę, nie mając odwagi jej otworzyć.

Dawno temu, kiedy stosunki we wspólnym mieszkaniu stały się wprost nie do zniesienia, Kwiatkowska zapisała się do spółdzielni mieszkaniowej „Nasza Kotwica”. Mijały lata.

Najpierw była „kandydatem”, później odpowiednią uchwałą zarządu przyjęto ją na „członka”, ale mieszkania nie dostawała. Nierzadko odwiedzała siedzibę „Naszej Kotwicy”.

Próbowała czegoś się dowiedzieć o choćby jakimś przybliżonym terminie przydziału lokalu. Odpowiadano jej niezbyt grzecznie, że takich jak ona, Kwiatkowska, są w

Warszawie tysiące, ba! dziesiątki tysięcy, i że „trzeba cierpliwie czekać”. Kiedyś usłyszała „taktowny” dowcip jakiejś smarkuli sie-

dzącej przy maszynie do pisania, że „niejeden, zamiast tu ludziom przeszkadzać w pracy, poszedłby sobie na Powązki i tam wybrał odpowiednie mieszkanie”.

Starsza pani odważyła się w końcu na audiencję u wszechmocnego prezesa. Ten był wprawdzie uprzedzająco grzeczny, ale również niczego nie przyrzekał. Rozkładał ręce i tłumaczył, że pierwszeństwo mają „umowy patronalne”, w następnej kolejności są rodziny z domów przeznaczonych do wyburzenia, wreszcie młode małżeństwa, które trzeba uwolnić od raju wspólnego mieszkania z teściowymi. Później... I tak dalej, i tak dalej. Pan prezes w ogóle nie mógł określić, kiedy spółdzielnia będzie przydzielała lokale emerytom i rencistom.

Ale, pomimo to, spółdzielnia nie zapominała o swojej członkini. Od czasu do czasu pani Eufemia Kwiatkowska otrzymywała listy polecane - długie, białe, opatrzone barwnym napisem „Nasza Kotwica”. W tych pismach zarząd spółdzielni „uprzejmie zawiadamiał”, że wobec wzrostu kosztów należy wnieść dodatkowe opłaty, albo wyjaśniał, że „wobec niewykonania planów budowy domów, przydział mieszkania dla Ob. przesunięty zostaje na dalszy termin”.

A więc i tym razem pani Eufemia mogła spodziewać się wszystkiego najgorszego. Oglądała ze wszystkich stron kopertę, nie kwapiąc się z jej rozpieczętowaniem. Wreszcie nauczycielka zdecydowała. Odszukała torebkę, znalazła w niej okulary i delikatnie oddarła rożek koperty, a potem rozerwała jeden z jej boków. Wewnątrz znajdował się mały, wąski kawałek papieru, złożony na dwoje i skąpo zapisany. Rencistka rzuciła okiem i aż przysiadła na stojącym opodal fotelu. List wypadł jej z rąk.

NASZA KOTWICA Spółdzielnia mieszkaniowa

Ob. Eufemia Kwiatkowska

w miejscu

Zarząd spółdzielni zawiadamia Ob., że przydzielił jej lokal M-1 na osiedlu „Za wiatrakami”, ul. Napoleona Gamaszki 6 m. 74.

6

Wszelkie formalności celem otrzymania kluczy do przydzielonego lokalu należy załatwić jak najszybciej, zgodnie z załączoną instrukcją. Lokal nieobjęty w posiadanie przez przydziałobiorcę w ciągu miesiąca od otrzymania niniejszego zawiadomienia, będzie przydzielony osobie trzeciej wg kolejności.

zarząd

(stempel i podpisy)

Czy można się dziwić, że „przydziałobiorca” dostał z emocji bicia serca? Starsza pani podniosła list, przetrzała chusteczką szkła okularów i kilkakrotnie przeczytała króciutki tekst. Zajrzała do koperty. Obiecywanej „załączonej” instrukcji w niej nie znalazła, ale to przeoczenie uznała za nieważny drobiazg. Dochodziła dopiero jedenasta. Był czas, aby pojechać do „Naszej Kotwicy” i na miejscu dowiedzieć się szczegółów.

A później podskoczyć na osiedle „Za wiatrakami”, obejrzeć ulicę Napoleona Gamaszki i dom stojący tam pod numerem szóstym. Kto wie, jeżeli dozorca będzie człowiekiem uczynnym, to może pozwoli pani Eufemii rzucić okiem na lokal oznaczony cyfrą „74”.

- Gdzie jest to osiedle „Za wiatrakami”? - przemknęło przez głowę nauczycielki.

Odnalazła plan miasta, ale na nim nie było ani śladu zarówno osiedla, jak i ulicy tajemniczego Napoleona Gamaszki. Widocznie była to nowa, niedawno przebita uliczka gdzieś na peryferiach miasta i nie zdołano jeszcze uwiecznić jej na planie Warszawy.

A ta uwaga zarządu spółdzielni, że lokale niezasiedlone będą przydzielane osobom trzecim!

Pani Eufemia gorzko się uśmiechnęła. Może takie wypadki rzeczywiście się zdarzają. Jeśli jednak chodzi o nią, nie ma obawy. Gdyby mogła, dzisiaj opuściłaby ten pokój i to „rozkoszne” towarzystwo, na które skazana była od osiemnastu lat.

Dobre nowiny mają tę przedziwną właściwość, że odmładzają ludzi i zasilają ich nową, wielką energią. Gdyby lekarze zamiast recept dawali przydziały na mieszkania lub wypisywali czek Narodowego Banku Polskiego, na pewno chorzy wracaliby do zdrowia znacznie szybciej, niż po specyfikach sprzedawanych za dolary w PKO. Pani Kwiatkowska od kilku dni skarżyła się, że strzyka ją w lewym kolanie i że ledwie może siedzieć, tak jej dokucza lumbago. Teraz jednak, pomimo swoich sześćdziesięciu trzech lat, zerwała się z fotela i sprężyste, niczym młoda dziewczyna, poczęła szykować się do wyjścia.

A kiedy wyobraziła sobie minę Janiny Kowalskiej, kiedy ta dowie się o przydziale mieszkania dla nauczycielki, dobry humor pani Eufemii dosięgnął szczytu. Nawet coś tam sobie nuciała, a w toalecie odszukała nieużywane od lat puder i szminkę do warg. Za kwadrans, ubrana tak elegancko, jak na to stać emerytkę, szła w kierunku najbliższego postoju taksówek. Skoro dostało się przydział własnego, spółdzielczego mieszkania, to w takim dniu nie jeździ się tramwajem.

W spółdzielni „Nasza Kotwica” tym razem wszyscy byli niezmiernie życzliwi i

uprzedzająco grzeczni. Nawet ta smarkuła z dowcipami o cmentarzu na Powązkach uśmiechnęła się tak promiennie, jak gdyby zamiast rencistki znajdował się w pokoju najprzystojniejszy z aktorów filmowych albo Mikulski.

- Szanowna pani ma wyjątkowe szczęście - twierdził księgowy - mieszkanko jest prześliczne. Duży pokój, przeszło dwadzieścia cztery metry kwadratowe. Osobna kuchenka, wprowadzie bez okna, ale to nic nie szkodzi. Przed-pokoik z szafą w ścianie i bardzo wygodna łazienka. Właściwie to nie kawalerka a mieszkanie M-2. Kawalerek ciągle nam brakuje, a pani tak długo czekała, że zarząd postanowił przyznać jej ten lokal. Winszuję, serdecznie winszuję!

- A gdzie to jest? - pani Eufemia zalana potokiem słów dzielnego reprezentanta „Naszej Kotwicy” usiłowała dowiedzieć się, w którym punkcie stolicy znajduje się powód jej szczęścia.

Na twarzy księgowego odbiło się zdumienie.

- Pani nie wie gdzie jest osiedle „Za wiatrakami”? Najpiękniejsza, nowo powstająca dzielnica Warszawy? To

8

9

przecież tuż przy Stalingradzkiej. Za wiaduktem, ale jeszcze przed elektrownią. Blisko do Wisły. Z okien będzie pani miała wspaniałą panoramę całej stolicy.

- A ulica Napoleona Gamaszki?

- Wsiądzie pani na drugim przystanku za rondem. Później, idąc w kierunku Żerania, trzeba skrócić w drugą ulicę na lewo. Następnie w trzecią na prawo i już jest pani na Gamaszki.

Nie sposób zabłądzić, bo z daleka widać kolonię wysokich jedenastopiętrowych domów.

- Ciągle nie wiem - wtrąciła „smarkuła” - kto to był ten Napoleon Gamaszko, chociaż codziennie z pięćdziesiąt razy wystukuję to nazwisko na swojej maszynie.

- Gamaszko był, zdaje się - wyjaśnił księgowy - jakimś znakomitym prawnikiem.

- Pewnie stary krętacz sądowy, przyjmujący co najbrudniejsze sprawy - mruknęła młoda maszynistka. - Inny by się nie cieszył takim uznaniem w naszej spółdzielni, żeby aż jego imieniem nazywać ulicę.

W tej chwili Eufemia Kwiatkowska przypomniała sobie duży, czerwony tytuł w jednej w popołudniówek:

„Zbrodniarz z Gamaszki znowu dał znać o sobie” „TRUP W WANNIE W WIEŻOWCU”

„Makabryczne odkrycie gospodarza domu” „Samotna kobieta ofiarą mordercy”

Nauczycielka pamiętała pewne szczegóły sensacyjnego artykułu. Zbrodniarz udusił swoją ofiarę. Nie stwierdzono żadnych śladów włamania ani też nic nie świadczyło o tym, że morderstwa dokonano w celach rabunkowych.

- To tam gdzie ten bandyta? - zapytała rencistka. - Może to właśnie mieszkanie po tej zamordowanej?

- Tamtejszy dzielnicowy mówił - księgowy machnął ręką - że są już na jego tropie. A mieszkanko szanownej pani w drugiej części ulicy. W nowym, dopiero przekazanym do użytku domu. Gdyby pani nie chciała tam mieszkać, nie ma przymusu. Może pani się zrzec. Przydzielimy komu innemu.

- Skądże znowu! - energicznie zaprotestowała rencistka. W porównaniu z Janiną Kowalską nawet tuzin przestępców nie wydawał się pani Eufemii być groźnym towarzystwem.

Zapytała jedynie:

- Czy mogłabym obejrzeć to mieszkanie?

- Zasadniczo przed załatwieniem wszelkich formalności u nas i w kwaterunku nikogo do mieszkania nie wpuszczamy. Można naturalnie obejrzeć budynek z zewnątrz i zapoznać się z planem lokalu. Ale dla szanownej pani zrobimy wyjątek. Zaraz dam karteczkę do gospodarza domu...

Jeszcze więc taksówka na ulicę Napoleona Gamaszki, rozmowa z gospodarzem domu poparta dwudziestozłotów-ką, przyjętą jako coś absolutnie należnego, i nauczycielka znalazła się w czterech ścianach własnego mieszkania. Nareszcie takiego, którego nie trzeba dzielić z innymi współlokatorami. Takiego, w którym o każdej porze dnia i nocy można iść do kuchni, aby zagotować wodę na herbatę, a w łazience kąpać się i prać bez ograniczenia. Pani Eufemia nie miała siły rozstać się z mieszkaniem. Księgowy nie kłamał. Lokal był spory i bardzo przyjemny. W marzeniach rencistki już się zapełniał meblami. Już widziała nie gołe ściany, lecz wiszące na nich obrazy i makatki.

Te rozważania przerwał dopiero gospodarz domu, który zaniepokoił się, że starsza pani, której dał klucz do lokalu numer siedemdziesiąt cztery, tak długo nie wraca z dziewiątego piętra.

- Już myślałem - zauważył rubaszenie - że panią wampir porwał.

Formalności związane z objęciem nowego lokalu załatwiono szybko i sprawnie. Pani Kwiatkowska od trzech lat była rencistką, ale nie zerwała wszystkich kontaktów ze swoją

szkołą. Miała tam jeszcze parę godzin tygodniowo wykładów.

Na ten czas zwolniła się więc z pracy i od rana do wieczora biegała po różnych urzędach, kompletując potrzebne papierki i stempelki.

W kwaterunku znano ją dobrze. Znano też jej przejścia i kłopoty ze współlokatorami. Toteż urzędnik starał się

10

11

przyśpieszyć sprawę. A kiedy ostemplował i podpisał ostatni dokument, roześmiał się i zapowiedział:

- A do opróżnionego przez panią pokoju to ja znajdę takiego lokatora, żeby Janina Kowalska wspominała panią ze łzami w oczach. Moja w tym głowa. Dała się ona i mnie we znaki, oj dała.

W kilka dni potem samochód ciężarowy, „wykombinowany” z jakiegoś przedsiębiorstwa dzięki temu, że pani Kwiatkowska uczyła muzyki syna magazyniera tej firmy, przewiózł skromny dobytek nauczycielki z ulicy Górnośląskiej na ulicę Gamaszki. Kilku uczniów najstarszej klasy ochotniczo ofiarowało swoją pomoc przy przeprowadzce. Całą „akcję” ukończono w trzy godziny. Jeszcze poczęstunek dla kierowcy, ciastka i cukierki dla „ochotników” i pani Eufemia została sama w czterech ścianach własnego mieszkania. Stara nauczycielka nawet nie podejrzewała, że właśnie wtedy zaczęła się największa przygoda jej życia.

## Rozdział II NARADA SZTABOWA

W pokoju podpułkownika Janusza Migonia, w gmachu Komendy Stołecznej MO, przy okrągłym stole siedziało siedmiu ludzi. Jedni w cywilu, inni w mundurach milicyjnych. Wśród wysokich szarż: pułkownika Zygmunta Piątkowskiego z Komendy Głównej, majorów Stanisława Wyględowskiego i Adama Sozańskiego z Komendy Stołecznej oraz majora Eugeniusza Polakiewicza i kapitana Mariana Dereszko z Komendy Dzielnicowej MO Warszawa - Praga Północ, dziwnie odbijał nowiutki mundur z dystynkcjami sierżanta. Opinał on zgrabną sylwetkę młodego człowieka, Andrzeja Lipkowskiego, jednego z dzielnicowych Komendy Warszawa - Praga Północ, wyraźnie skrępowanego faktem, że znalazł się na tak ważnej naradzie i to w gronie wyższych oficerów. Milcząc pił gorzką kawę, bo cukiernica znajdowała się poza zasięgiem jego ręki, a nie śmiał poprosić pułkownika Piątkowskiego o podanie mu cukru.

- Sądzę - zagaił podpułkownik Janusz Migoń - że najlepiej będzie, jeśli major Polakiewicz zreferuje nam całą sprawę. To ich teren, oni pierwsi tym się zajęli, a dopiero potem dochodzenie przejął major Wyględowski. Z kolei on nas poinformuje - jakie powziął kroki i co zamierza zrobić dla ujęcia mordercy.

Major Wyględowski miał w tej chwili wyraz twarzy człowieka, który przez omyłkę zamiast słodkiej czekoladki skosztował piołunu i na dobitkę musi to świństwo połknąć. Natomiast obaj oficerowie z dzielnicy wcale nie starali się ukryć zadowolenia, że tę „cholerną sprawę” przejęły z ich rąk władze wyższe. Toteż Polakiewicz szybko otworzył szarą kartonową teczkę i prawie nie

12

13

zaglądając do znajdujących się w niej dokumentów rozpoczął:

- W dniu osiemnastego września, o godzinie dwudziestej minut piętnaście, do naszej dzielnicy zgłosiła się obywatelka Elżbieta Warowniak i zameldowała, że jej ciotka, zamieszkała przy ulicy Napoleona Gamaszki dziewiętnaście mieszkania sześćdziesiąt siedem, nie otwiera drzwi ani nie odpowiada na pukania. Obywatelka ta wyjaśniła, że ze swoją ciotką umówiła się o godzinie trzeciej po południu tegoż dnia i przez kilka godzin czekała przed jej drzwiami. W mieszkaniu paliło się światło i grało radio. Ponieważ ciotka obywatelki Warowniak, Stanisława Roszkowska, była osobą samotną i w dodatku chorą na serce, siostrzenica obawiała się, że mogła nagle zachorować. W tej sytuacji obywatelka Warowniak zwróciła się do MO z prośbą o otwarcie zamkniętego mieszkania.

- Bardzo słusznie zrobiła - mruknął pułkownik Piątkowski.

- Do mieszkania - ciągnął major - wydelegowaliśmy jednego z milicjantów. Obejrzał on lokal z zewnątrz i stwierdził, że rzeczywiście widać w oknie światło, a dźwięki radia słychać na klatce schodowej. Milicjant zdecydował się, wspólnie z gospodarzem domu, otworzyć drzwi i wejść do środka. W pokoju nie było nikogo. Nie widać też było żadnych śladów walki. Natomiast przez uchylone drzwi do łazienki kapral Doberski zauważył leżącą w wannie kobietę. Kobieta miała na sobie ciemną suknię i już na pierwszy rzut oka robiła wrażenie nieżywej. Kapral zabezpieczył drzwi do mieszkania i zaalarmował z najbliższego telefonu komendę dzielnicy. Natychmiast skierowaliśmy na ulicę Gamaszki ekipę dochodzeniową...

Polakiewicz zamilkł, wyszukał odpowiedni dokument, po czym podjął swoje opowiadanie.



- Lekarz po dokonaniu obdukcji zwłok stwierdził, że kobieta, była nią, jak to ustaliła obywatelka Warowniak, Stanisława Roszkowska, nie żyje co najmniej od dwudziestu czterech godzin. Przyczyna śmierci: uduszenie. Na szyi wyraźne ślady palców mordercy. Daktyloskopowie nie

14

znaleźli w mieszkaniu żadnych obcych odcisków palców. Wszystko wskazywało na to, że kobietę zamordowano w pokoju, a następnie zwłoki przeciągnięto do łazienki i złożono w wannie.

- Z wodą? - przerwał jeden z obecnych.

- Nie. W wannie wody nie było.

- Co zrabowano? - zapytał major Sozański, który, w przeciwieństwie do pozostałych uczestników narady, zupełnie nie orientował się w szczegółach zbrodni, a zaproszono go tutaj jako specjalistę-psychologa.

- Nie stwierdzono żadnych śladów rabunku - odpowiedział Polakiewicz. - Na stoliku leżała torebka zamordowanej, a w niej przeszło dwa tysiące złotych. Na toalecie pod lustrem leżały: obrączka i dwa pierścionki, wszystko ze złota. Zabita miała na rękę zegarek marki „Omega”, który przedstawia wartość ponad półtora tysiąca złotych.

- Zemsta, porachunki osobiste? - domniemywał pułkownik Piątkowski.

- Zbadaliśmy i ten aspekt. Zmarła była osobą samotną. W czasie Powstania Warszawskiego straciła męża i później z nikim się nie związała. Jedyne córka pracuje i mieszka we Wrocławiu. Stosunki między matką i córką były więcej niż poprawne. Zresztą zarówno córka, jak i jej mąż, mają niepodważalne alibi. Roszkowska pracowała w Ministerstwie Komunikacji w dziale zajmującym się układaniem rozkładów jazdy. Przy takim rodzaju roboty trudno się komuś narazić i to aż" do krwawej zemsty.

- No - uśmiechnął się podpułkownik - nasze kolejowe rozkłady jazdy mają wiele braków. Sam niedawno czekałem przeszło cztery godziny w Kutnie na pociąg do Płocka. Może jakiś rozgoryczony pasażer wziął odwet za rozczarowanie i udusił autora rozkładu jazdy? Uczestnicy narady roześmiali się, by za chwilę spoważnieć. Major Polakiewicz relacjonował monotonicznie:

- Zmarła nie należała do osób zamożnych. Wprawdzie na książeczce PKO, którą znaleźliśmy w biurku, znajdowało się przeszło piętnaście tysięcy złotych, to jednak poza dwoma pierścionkami, obrączką i zegarkiem nie miała

żadnego innego majątku. Wykluczaliśmy więc mord z chęci otrzymania spadku, pomijając już alibi jedyne go spadkobiercy, córki. Z mieszkania, według zeznania siostrzenicy, Elżbiety Warowniak, nic nie zginęło. Pomagała ona ciotce w przeprowadzce i umeblowaniu nowego mieszkania, toteż wiedziała gdzie jakie przedmioty się znajdują. Nawet garnki były na swoim miejscu.

- Morderstwo seksualne? - rzucił major Sozański.

- Wykluczone! Nie wykryto usiłowania gwałtu. Trzeba też brać pod uwagę, że Roszkowska była osobą starszą. Miała pięćdziesiąt dziewięć lat, a nigdy nie była zbyt urodziwa.

- To o niczym nie świadczy - zauważył Sozański. - Niedawno we Francji zgwałcono i zamordowano osiemdziesięcioletnią staruszkę.

- U nas, na szczęście, starsze panie pod tym względem nadal są bezpieczne.

- Jeszcze raz powtarzam, że nie znaleziono najmniejszych śladów usiłowania gwałtu - powtórzył major Polakiewicz.

- To nie argument - specjalista od psychologii nie dawał się przekonać. - Znamy wiele morderstw seksualnych bez próby nawiązania stosunku płciowego. Jakie inne motywy tej zbrodni major może podać?

- W tej zbrodni po prostu nie ma żadnych motywów - przedstawiciel komendy dzielnicowej powiedział to głosem odrobinę silniejszym niż powinien. Najwidoczniej uwagi majora-psychologa trochę go zdenerwowały.

- Nie ma zbrodni bez motywów - odparował major Sozański. - W tym morderstwie także muszą być jakieś motywy.

- Przejdźmy do omówienia drugiej sprawy - zaproponował podpułkownik. - Obie są ściśle związane tą samą techniką popełnienia zbrodni.

Major Polakiewicz, znowu nie zaglądając do leżących przed nim papierów, precyzyjnie referował:

- Drugiego października gospodarz domu numer trzydzieści dwa przy ulicy Napoleona Gamaszki zaalarmował

dzielnicę, że zamieszkała w tym bloku Irena Kowalczyk trzeci dzień nie opuszcza mieszkania, w którym dzień i noc pali się światło. Tym razem - uśmiechnął się major -

nauzeni doświadczeniem nie posłaliśmy tam żadnego z kaprali, ale od razu ekipę

dochodzeniową. Sam nią kierowałem. Kowalczyk mieszkała na siódmym piętrze. Przed

próbą sforsowania drzwi wejściowych zdjęto z nich odciski. Były to tylko ślady ręki gospodarza domu. Irenę Kowalczyk znaleźliśmy nieżywą. Została uduszona.

- W wannie? - zapytał Sozański.

- Tak, w wannie.

- Bez wody? Ciało przeciągnięte z pokoju, prawda? - Tak jest, majorze.

- To bardzo ważna okoliczność - wyjaśnił psycholog. - To przeciąganie zwłok, umieszczanie ich w wannie wskazuje wyraźnie, że mamy do czynienia z psychopatą. Tego rodzaju zbrojeńcy, jeśli raz przewyciężyli hamulce wewnętrzne i dopuścili się pierwszej zbrodni, później już nie mogą się zatrzymać. Mordują aż do chwili ich ujęcia. Takim klasycznym przykładem z kryminalistyki jest Landru.

- Wracając do zabójstwa Ireny Kowalczyk - mówił major Polakiewicz - była to również wdowa. Dawniej mieszkała z synem lekarzem. Ale stosunki w tej rodzinie były dość napięte. Po prostu, jak to się zwykle zdarza, matka nie umiała znaleźć wspólnego języka z synową, zresztą również lekarką. Dlatego też zostawiła synowi mieszkanie, a sama przenieśli się do kawalerki przy ulicy Gamaszki. Kowalczykowa miała sześćdziesiąt osiem lat. Sytuacja materialna dobra, bo niezależnie od renty po mężu od każdego z trojga dzieci otrzymywała stałą pomoc. Poza tym mieszkając przez wiele lat z jednym z synów, kobieta ta praktycznie biorąc niewiele wydawała ze swojej renty. Miała na książeczkę oszczędnościowej ponad trzydzieści tysięcy złotych, a prócz tego dwie książeczki samochodowe. W mieszkaniu znaleźliśmy całą biżuterię. Biegły ocenił jej wartość na ponad dwadzieścia tysięcy złotych. Na stole leżała torebka, w której znajdowało się tysiąc złotych. Kawalerka nie nosiła śladów plądrowania ani choć-

16

17

by szukania czegokolwiek. Badania daktyloskopijne nie dały efektów.

- Teraz początkujący przestępca wie, że należy używać rękawiczek.

- A właściwie gdzie jest ulica Gamaszki i co to za środowisko, wśród którego mieszkały te dwie biedne kobiety? - zapytał pułkownik.

- Pozwoliłem sobie - wyjaśnił major Polakiewicz - wziąć na dzisiejszą naszą konferencję dzielnicowego, sierżanta Andrzeja Lipkowskiego, któremu podlega ta ulica. On najlepiej orientuje się w tych sprawach.

Spojrzenia obecnych skierowały się na młodego człowieka, dotychczas milcząco

przysłuchującego się wymianie zdań wyższych szarż.

- Ulica Gamaszki - sierżant zaczął niepewnie, ale w miarę mówienia nabierał większego rezonu - leży na osiedlu „Za wiatrakami”. Jest to bodaj najmłodsze wielkie osiedle mieszkaniowe. Zajmuje, a właściwie będzie zajmować puste, piaszczyste tereny pomiędzy ulicą Stalingradz-ką a brzegiem Wisły. Nie wiem skąd pochodzi nazwa „Za wiatrakami”, bo chociaż urodziłem się i wychowałem na Żeraniu ani ja, ani nawet mój dziadek nie pamięta, żeby tam stał choć jeden wiatrak. Osiedle jest w stadium początkowej zabudowy. Większość ulic istnieje tylko na planach architektów. Jedynym, bardziej zaawansowanym fragmentem tej zabudowy, jest ulica Napoleona Gamaszki. Tutaj stoi siedem dużych jedenastopiętrowych wieżowców i kilkanaście domów czteropiętrowych. Otworzono kilka sklepów i na przyszły rok wykończą szkołę. Pierwsi lokatorzy zjawili się na Gamaszki dopiero w czerwcu lub też w lipcu. Co kilka dni jakiś dom przekazany zostaje do użytku. Toteż nawet mnie, dzielnicowemu, trudno się zorientować kto tam mieszka. Domy należą do spółdzielni „Nasza Kotwica”. O ile wiem, jej członkami są różne zakłady przemysłowe, które na zasadzie umów patronalnych otrzymują część mieszkań dla swoich pracowników. Poza tym członkowie indywidualni, przede wszystkim inteligencja pracująca. Znacznie mniej robotników. Nieco renci-

18

stów i nauczycieli z różnych typów szkół. Stosunkowo nieliczni mieszkańcy tej kolonii pracują na miejscu, w zakładach przemysłowych Żerania. Na ogół ludzie narzekają na komunikację, bo mają przeszło kilometr do Stalingradz-kiej, a stamtąd jeżdżą nieraz na drugi koniec Warszawy. Ponieważ pierwsze bloki oddano przed czterema miesiącami, ludzie na ogół się nie znają.

- To bardzo ułatwia działalność mordercy - zauważył jeden z oficerów.

- Obie zbrodnie popełniono w domach zasiedlonych dopiero przed dwoma czy trzema tygodniami - dorzucił sierżant. - Obie w wieżowcach i to na wyższych piętrach.

- Im wyżej, tym mniejszy ruch na schodach, a więc większa szansa być niezauważonym.

- Dziękuję, sierżancie, za obszerne i rzeczowe wyjaśnienia - powiedział podpułkownik Migoń. - Musimy zrobić wszystko, aby nie dopuścić do tego trzeciego morderstwa. Może więc major Stanisław Wyględowski, który przejął dochodzenie od dzielnicy, pochwali się swoimi osiągnięciami?

- Niestety, nie mam wiele do powiedzenia. Jak podkreśliłem, wstępne dochodzenie dzielnic

przeprowadziła wzorowo. Pomimo to nie natrafiono na żaden ślad. Potem my wysłaliśmy na Gamaszki swoje ekipy. Zarówno mundurowe, jak i wywiadowców. Przesłuchano kilkaset osób i pod różnym pozorem nawiązywano rozmowy o morderstwach. Nawet z bawiącymi się na ulicy dziećmi. Nie mamy żadnego konkretnego punktu zaczepienia. Jak to zwykle bywa w takim nowo przekazanym do użytkowania osiedlu, kręcą się tam całe tabuny przeróżnych kombinatorów. Ślusarze do zakładania dodatkowych zamków, stolarze do poprawiania niezamykających się drzwi i okien. Hydraulicy oferujący swoje usługi. Firmy uszczelniające okna. Sprzedawcy gzymsów. Elektrycy i wszelkiego kalibru „złote rączki”. Wylegitymowaliśmy kilkadziesiąt osób. Przy sposobności niektóre sprawy skierowaliśmy do kolegów. A przede wszystkim agentów firm niemających koncesji i robotników zatrudnionych w miejscowych przedsię-

19

biorstwach budowlanych, którzy w godzinach pracy i przy użyciu materiałów fabrycznych naprawiali prywatnie to, co przedtem urzędowo sknocili. Ale na tym się skończyło. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie.

- To niewiele - mruknął Płatowski.

- Rzeczywiście, to niewiele - przyznał Wyględowski. -Może Komenda Główna przejęłaby dochodzenie?

- Na to zawsze mamy czas - pułkownik nie kwapił się do wzięcia na swoje barki tak trudnej sprawy.

- Zastanawialiśmy się nad tym o czym wspomniał tutaj major Sozański. Skoro były dwa morderstwa, to może nastąpić i trzecie - powiedział Wyględowski.

- Tego się najbardziej obawiam - potwierdził major.

- Dlatego też podjęliśmy szczególną ochronę całej ulicy Gamaszki. Stale dyżuruje tam dwóch wywiadowców. Co dwie godziny ulicą przejeżdża radiowóz.

- To wcale nie przeszkodzi mordercy, który działa nie na ulicy, ale w mieszkaniach swoich ofiar.

- W każdym bądź razie wypłoszyliśmy z Gamaszki te tabuny „usługowców”, kręcących się tam od rana do późnego wieczora.

- W ten sposób nie ujmiacie przestępcy, a utrudniacie życie mieszkańców osiedla „Za wiatrakami”. Jeżeli komuś w nowym mieszkaniu nie domykają się okna i nie ma w drzwiach zamków, jest mu wszystko jedno z czyich usług korzysta. Bo jeśli chodzi o

administrację lub naprawy gwarancyjne, to czekaj tatka latka. Sam wiem coś o tym, mieszkam w takim nowym domu. Chociaż jestem majorem milicji, musiałem korzystać z takich nielegalnych usług.

- Jeżeli nawet nasza akcja nie doprowadzi do natychmiastowego ujęcia mordercy - bronił się Wyględowski - to przynajmniej wystraszy go z ulicy Gamaszki. Nigdzie nie stwierdziliśmy włamania bądź otwierania drzwi dorobionymi kluczami, co wskazuje, że ofiara sama wpuściła przestępcę do swojego mieszkania. Obie kobiety nie znały się wzajemnie ani nie miały wspólnych znajomych. Dochodzenie ustaliło to ponad wszelką wątpliwość. A więc zbrodniarz dostał się do ich mieszkań prawdopodobnie pod pozorem ofiarowania swoich usług.

- Czy obydwa mieszkania były kompletnie urządzone? - zapytał pułkownik.

- Tylko pierwsze. Stanisławy Roszkowskiej. Mieszkanie Ireny Kowalczyk sprawiało wrażenie, że jego właścicielka dopiero przystosowuje je do swojego gustu i upodobań. Obrazy nie były jeszcze rozwieszane, a stały na podłodze. Znaleźliśmy tam także nowe zasłony i szyny do okien. Syn zamordowanej zeznał, że umówił się z matką na najbliższą niedzielę, aby je umocować. Ale wspomniał jednocześnie, że starsza pani napomykała mu o jakimś stolarzu, który ofiarował się założyć dodatkowe półeczki i naprawić szafkę uszkodzoną przy przeprowadzce.

- To może być interesujący ślad.

- Zwróciliśmy na to specjalną uwagę. Zatrzymaliśmy aż siedmiu specjalistów w tej dziedzinie. Cóż z tego? Żaden nie przyznaje się nie tylko do naprawy szafki, ale nawet do rozmowy z którąkolwiek z zamordowanych kobiet.

- To zrozumiałe. Nawet niewinny zaprzeczy takim znajomościom, aby nie mieć jakichś kłopotów.

- Niczego nie możemy im udowodnić, bo nie mamy żadnych świadków. Dzielnicowy słusznie zauważył, że mieszkańcy nie znają się i nie wymieniają uwag, jak to dzieje się w starych domach. \*

- A gospodarze tych domów?

- Wymagłowaliśmy ich porządnie i to nie tylko tych z wieżowców, gdzie mieszkały dwie nieszczęsne kobiety. Zaprosiliśmy na rozmowy wszystkich bez wyjątku. Niewiele oni wiedzą. Przede wszystkim pilnowali, żeby przy okazji wprowadzania się nowych lokatorów jak najwięcej zarobić. Nie interesowali się rzemieślnikami, krążącymi od lokalu do lokalu.

Obecność tych ludzi na kolonii uważali za całkowicie usprawiedliwioną i normalną. Jak panowie widzicie, nie mam się czym pochwalić. Trudna sprawa, zwłaszcza że nie znamy motywu zbrodni. Są one bezsensowne.

- Mordy psychopaty - powtórzył major Sozański.

20

21

- Chyba zgodzimy się z twierdzeniem majora - potaknął pułkownik.

- A ja myślę, że nie.

Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli na sierżanta, jak gdyby zobaczyli go po raz pierwszy.

Dzielnicy na naradzie sztabowej wyższych oficerów, to ostatecznie się zdarza, ale żeby ośmielił się być innego zdania niż pułkownik z Komendy Głównej? Ciekawe!

Sierżant miał twarz czerwoną aż po czubki uszu. Doskonale zdawał sobie sprawę z własnej bezczelności, ale brnął dalej:

- Sądzę, że pan major się myli. I pan pułkownik także. To nie jest mord seksualny.

Dochodzenie nie stwierdziło wprawdzie rabunku, ale czy mamy stuprocentową pewność, że morderca niczego nie zabrał? A może w mieszkaniu była większa suma pieniędzy? Zabójca wziął kilkanaście tysięcy, a resztę zostawił. Czy nie mogło tak być? Tym bardziej, że zapisy w książeczkach oszczędnościowych wykazują, że na kilka dni przed morderstwem podejmowano z nich większe kwoty. Roszkowska dziesięć tysięcy, a Ko-walczykowa aż dwadzieścia dwa tysiące złotych. Tych pieniędzy nie znaleziono...

- To zupełnie zrozumiałe - szybko wtrącił major Polakiewicz nieco zmieszany, że w swoim referacie pominął tak istotny szczegół. - Ludzie, którzy otrzymują nowe mieszkanie, mają w związku z tym wiele wydatków. Nie sposób określić konkretną ich wysokość, ale każdy ze szczęśliwców trzyma się za kieszeń. Co do Ireny Kowalczyk, to stwierdziliśmy, że ponad dziesięć tysięcy złotych wydała na meble, bo wyprowadzając się od syna wzięła jedynie tę szafkę, o której wspomniałem. Pierwsze dni w nowym mieszkaniu spała wśród gołych ścian, na składanym łóżku.

- To i tak pozostała jej jeszcze spora sumka - podpułkownik Janusz Migoń wyraźnie stanął po stronie sierżanta.

- Kowalczykowa, jak zeznał jej syn, zawsze miała szeroki gest. Na pewno wydała kilka tysięcy na urządzenie mieszkania. Resztę, lekarz przypuszcza, mogła pożyczyć którejś ze swoich przyjaciółek. Po śmierci wierzycielki nikt

nie przyzna się do takiego długu. Syn oświadczył, że gdyby nie pilnował matki, chodzi o te lata, kiedy z nim mieszkała, wszystko by rozdała. Miała, jak to się mówi, „miękkie serce”. Nie zapominajmy poza tym, że sumy podejmowano w jednym przypadku na pięć dni przed zbrodnią, a w drugim na tydzień.

- A pieniądze, które podjęła Roszkowska?

- Ponad dwa tysiące miała w torebce.

- A reszta?

- Miała przecież wydatki związane z zagospodarowaniem się w nowym miejscu. Mogła na to wydać te dziesięć tysięcy. Ostatecznie nie tak znowu wielka suma dla kogoś, kto się urządza.

- Wątpliwe - dzielnicowy poczynał sobie coraz śmieiej. - Dokładnie oglądałem ten lokal. Meble stare, radio stare, garnki używane. Tylko zasłony do okien świeżo kupione i chyba lampa stojąca na podłodze. Poza tym makatka słomiana, którą zawieszono na ścianie za tapczanem. Te wszystkie inwestycje mogły pochłonąć najwyżej dwa tysiące złotych, łącznie z „fuchami”, na które rzemieślnicy mogli nabrać Roszkowską.

- To jakiś punkt zaczepienia - zauważył podpułkownik.

- Zwrócę na to szczególną uwagę - zapewnił major Wyględowski.

- Sądzę - Migoń, gospodarz narady, zauważył, że pułkownik Piątkowski już kilka razy zerknął na zegarek - że tymi słusznymi wnioskami zakończymy dzisiejszą konferencję.

Chciałbym jedynie podkreślić - zwrócił się do majora Wyględowskiego - że musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby ująć zbrodniarza. A zwłaszcza nie dopuścić do następnego morderstwa. Na osiedlu wybuchła prawdziwa panika.

- Tak jest, pułkowniku.

- Ze swojej strony, w imieniu Komendy Głównej MO, przyrzekam jak najdalej idącą pomoc

- zaofiarował się pułkownik Piątkowski powstając z fotela.

- Jeszcze chwileczkę - wtrącił sierżant.

- Pułkownik usiadł z powrotem.

22

23

- Słuchamy - zachęcił Migoń.

- Pan major Sozański twierdzi, że można się spodziewać następnych zbrodni. Obawiam się, że ma rację. Ja również zastanawiałem się nad tą sprawą i dlatego sporządziłem listę tych



ofiar.

- Macie gotową listę?! Dzielnicowy bardzo się zmieszał.

- Przepraszam. Niezbyt dokładnie się wyraziłem. Listę osób, które mogłyby paść ofiarą przestępcy. Morduje on samotne, starsze kobiety. Dlatego zrobiłem spis mieszkań, zajętych w moim rewirze przez ludzi samotnych i do tego starszych. Mam nazwiska siedemnastu osób, mężczyzn i kobiet. Każdego z lokatorów odwiedziłem, sprawdziłem jakie mają zamki w mieszkaniach i ostrzegłem przed wpuszczeniem nieznajomych. Skoro zechcą wynająć kogoś do roboty, mają z tym zwrócić się do mnie, a ja sam przyprowadzę odpowiedniego fachowca. Poleciłem im założyć w drzwiach łańcuchy.

- Bardzo słusznie postąpiliście, sierżancie - pułkownik pochwalił dzielnicowego.

- Oto lista - sierżant podał kartkę papieru majorowi Wyględowskiemu.

- Dziękuję! Polecę moim ludziom, żeby specjalnie baczylili na te lokale.

- Mam jeszcze jedną prośbę...

- Śmiało, sierżancie.

- Chciałbym prosić - Andrzej Lipkowski zwrócił się do podpułkownika Migonia - żeby mi wolno było, oczywiście pod kierunkiem obywatela majora, brać udział w dochodzeniu. Major Polakiewicz skrzywił się. Obowiązkiem dzielnicowego jest pilnowanie porządku w swoim rewirze, a nie bawienie się w oficera dochodzeniowego.

- Naturalnie nadal będę sumiennie pełnił funkcję dzielnicowego - uzupełnił sierżant - ale właśnie dlatego moje spostrzeżenia mogą przydać się obywatelowi majorowi.

- Należy chyba wyrazić zgodę - zabrał głos Wyględowski. - Przy prowadzeniu sprawy i tak zamierzałem korzystać z opinii i pomocy dzielnicowego, ale bliższe

24

związanie go z całym aparatem dochodzenia jest dobrym pomysłem.

- Ja też tak uważam. A jakie jest zdanie panów? - podpułkownik Migoń zwrócił się do oficerów z dzielnicy.

- Zgadza się z panem pułkownikiem - stwierdził kapitan Marian Dereszko.

- Ale my nie możemy o tym decydować - zastrzegł major Polakiewicz wcale nie kryjąc braku zachwyty nad pomysłem sierżanta.

- Naturalnie, naturalnie - uśmiechnął się Migoń - zachowamy drogę służbową. Sam zwrócę się w tej sprawie do komendanta dzielnicy.

- Kończmy, panowie - pułkownik po raz drugi wstał z fotela - już i tak spóźniłem się

przeszło pół godziny na odprawę na Ksawero wie.

Oficerowie zaczęli się żegnać. Korzystając z małego zamieszania, sierżant Lipkowski zasalutował i szybko wymknął się z gabinetu. Wolał nie wracać na Pragę razem z majorem Polakiewiczem.

25

### Rozdział III LEKCJA MUZYKI

Każdy medal ma zawsze dwie strony. Przekonała się o tym i pani Eufemia Kwiatkowska. Nawet bardzo szybko, bo w parę dni po przeprowadzce na ulicę Napoleona Gamaszki. Dawne mieszkanie nauczycielki znajdowało się w pobliżu jej szkoły. Dzięki temu rencistka nie tylko zachowała sobie kilka godzin wykładów tygodniowo, ale jeszcze udzielała korepetycji i uczyła muzyki. Teraz jazda do szkoły połączona była z całą wyprawą, pochłaniająca ponad godzinę w jedną stronę. A poza tym, siłą rzeczy, odpadły lekcje prywatne.

Pani Kwiatkowska postanowiła nie tracić kontaktu ze szkołą. Zżyła się z tą uczelnią, w której wykładała od jej założenia. A co do lekcji? W budżecie nauczycielki dochody te stanowiły ważną pozycję. Trudno się było pogodzić z ich stratą, przeto rencistka postanowiła szukać szczęścia na miejscu, w osiedlu „Za wiatrakami”. Wykaligrafowała parę karteczek i rozkleiła je na przystanku tramwajowym przy ulicy Stalingradzkiej, a także na dwóch latarniach ulicy Gamaszki.

„Długoletnia nauczycielka muzyki udziela lekcji gry na fortepianie początkującym i zaawansowanym. Wiadomość: Napoleona Gamaszki 6 m. 74, godz. 16.00-18.00”.

Już na drugi dzień punktualnie o czwartej rozległ się dzwonek i kiedy pani Eufemia otworzyła drzwi, ujrzała w progu młodego człowieka w mundurze sierżanta MO.

- Ja z ogłoszenia. Sierżant Lipkowski - przedstawił się przybyły.

- Proszę - pani Eufemia wpuściła gościa do środka. - Czy pan sam pragnie się uczyć, czy ktoś...

- Niestety, nie mam czasu na naukę i jestem jeszcze kawalerem. Może w przyszłości skorzystam. Ale jestem tutejszym dzielnicowym i chciałbym z panią porozmawiać. Przede wszystkim takich karteczek nie wolno nalepiać na latarniach. To nie słupy ogłoszeniowe. Zresztą od drobnych ogłoszeń jest prasa. Mógłbym pani wlepić mandat, a nawet skierować sprawę do kolegium.

- Chyba pan tego nie zrobi! - przestraszyła się rencistka. - Każdy chce żyć. Te lekcje są mi

potrzebne, a ogłoszenie w prasie nic by mi nie dało.

- Tym razem tego nie zrobię. Ale swoją drogą pani jest bardzo lekkomyślna.

- Dlaczego?

- Otwiera pani drzwi na dzwonek, nie wiedząc kto stoi na zewnątrz. A gdybym to nie był ja, lecz ten wampir?

- Nie boję się żadnego zbrodniarza. Co on może mi zrobić? Niewiele mojego majątku.

- Te dwie kobiety także nie okazały strachu, a teraz są na cmentarzu. Nie zdążyłaby pani krzyknąć i byłoby po wszystkim. Za parę dni ktoś by znalazł trupa w wannie.

- Brrr... Niech pan przestanie. Nie będę mogła w nocy zasnąć.

- Tu nie chodzi o sen, lecz o życie. Wcale nie mam zamiaru pani straszyć. Ten człowiek zamordował już dwie kobiety, tak samo samotnie mieszkające jak pani. Dotychczas nie udało nam się go ująć. W takiej sytuacji ostrożność nie zawadzi. Powiem pani jeszcze, że w obydwu sprawach nie stwierdziliśmy, aby zrabowano coś z mieszkania. Może to jakiś zboczeniec?

- Pan mnie naprawdę przeraża.

- Przyznaję, że z tym zamiarem przyszedłem do pani. Jako dzielnicowemu zależy mi, aby mieszkańcy Gamaszki zachowali jak najdalej idącą ostrożność. Chodzi mi także o to, aby byli w stałym kontakcie ze mną i meldowali mi

o wszystkich podejrzanych osobach. Nie zauważyła pani nic takiego? Nie za często kręci się tu ktoś niepowołany?

- Nie! Pierwszego dnia po wprowadzeniu się nie było pół godziny bez dzwonka. Różni stolarze, ślusarze,

26

27

elektrycy chcieli koniecznie wszystko naprawić, chociaż Bogiem a prawdą mieszkanie nie jest najgorzej wykończone. Zrezygnowałam z ich usług. W mojej szkole jest kilku sprytnych chłopaków. Ci przyszli i pomogli mi w urządzeniu się. Założyli na suficie szyny na zasłony, nie mówiąc już o tym, że wbili gwoździe i powiesili co było potrzeba.

- Czy nie zwróciła pani uwagi, że ktoś z tych ofiarowujących swoje usługi przychodził więcej niż jeden raz?

- Nie przypominam sobie. Ale... Tak! Na pewno tak było.

- Jak ten człowiek wyglądał i czego chciał? - spytał zaintrygowany milicjant.

- Przyznaję się, że nie kojarzyłam tych dwukrotnych odwiedzin ze sprawą tych dwóch poprzednich morderstw. Poza tym nie mam pamięci do twarzy. Kręcił się po naszym domu, widziałam go też na ulicy... On czymś się odznaczał, ale czym?

- Może to był stolarz?

- Doprawdy nie wiem.

- Niech pani sobie przypomni. To bardzo ważne. Eufemia Kwiatkowska zastanowiła się.

- Niestety, nie pamiętam.

- Wielka szkoda. Jeżeli jednak pani przypomni sobie coś o tym człowieku lub jeśli pani jeszcze raz go spotka, proszę albo zatelefonować do mojego biura, albo zaraz tam przyjść. To kilka kroków stąd, też na Gamaszki.

- Przynajmniej panu.

Milicjant krytycznie obejrzał drzwi.

- Nie ma pani ani łańcucha, ani wizjera. Tę zasuwę każdy fachowiec w trzy minuty otworzy. Proszę koniecznie założyć zamek zapadkowy typu „Yale”. Obojętnie czy samozatraskujący się, czy nie. I łańcuch. Wizjer kosztuje grosze, a dzięki niemu widzi pani kto stoi za drzwiami.

- Dobrze, na pewno zastosuję się do pana polecenia -nauczycielka była nie na żarty przestraszona.

- Proszę nikomu obcemu nie otwierać!

- A jeśli ktoś przyjdzie w sprawie lekcji muzyki? Przecież nie będę z nimi rozmawiała przez drzwi.

28

- To prawda... Hm, jak to zrobić? - zastanawiał się dzielnicowy. - Już wiem! W tym czasie będę siedział w pani mieszkaniu.

- No wie pan! - oburzyła się rencistka. - Klientów mi pan wypłoszy. Kto zechce rozmawiać o interesach w obecności milicjanta?

- Też racja - przyznał sierżant. - Ale poradzimy sobie. Posiedzę zamknięty w łazience.

Dobry pomysł! - milicjantowi spodobało się to rozwiązanie. - W ten sposób zastawimy pułapkę na zbrodniarza.

- Dziękuję - mruknęła Kwiatkowska nie dzieląc wcale entuzjazmu młodego człowieka.

- A ja mam być przynętą.

W tym momencie rozległ się dzwonek. Lipkowski położył znaczącym ruchem palec na

ustach i jednym susem czmychnął do łazienki. Chcąc nie chcąc pani Eufemia musiała pogodzić się z sytuacją i ruszyła do drzwi. Stał w nich mężczyzna w wieku około czterdziestki. Przystojny, o lekko siwiejących włosach. Jego twarz okraszał miły uśmiech.

- Ja w sprawie tego pani ogłoszenia.

- Proszę do środka - rencistka wprowadziła gościa do pokoju i wskazała fotel.

Mężczyzna podziękował, ale zajął wskazane sobie miejsce dopiero wówczas, kiedy pani Eufemia ulokowała się na drugim fotelu.

- Słucham pana?

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Znamierowski jestem. Inżynier Witold Znamierowski. Mieszkam obok. Także przy Gamaszki, ale pod dziewiętnastym, mieszkanie pięćdziesiąt trzy. Mam córeczkę. Pięć lat kończy. Niesłychanie zdolne dziecko, zwłaszcza do muzyki.

- Czy już uczyła się grać?

- Nie, jeszcze nie. Ale kiedy usłyszy śpiew albo muzykę w radio, to zaraz powtórzy. Śpiewa i tańczy. Chciałbym, żeby rozpoczęła regularne lekcje. Trzy, cztery razy w tygodniu.

- Słusznie. Jeżeli dziewczynka ma talent, należy go jak najwcześniej rozwijać.

29

- Na pewno wielki talent.

- Chętnie zajmę się nią. A ponieważ nie znamy się, muszę i ja się przedstawić. Przed wojną skończyłam Konserwatorium Warszawskie w klasie pani profesor Kazuro-Trombini. Wojna i okupacja przeszkodziły mojej karierze artystycznej. Po wojnie za późno było rozpoczynać na nowo, więc zajęłam się pedagogiką. Wykładałam w Podstawowej Szkole Muzycznej, gdzie zresztą pracuję i dzisiaj, oraz w Liceum Muzycznym.

Inżynier Znamierowski skłonił głowę na znak uznania.

- Umówmy się w ten sposób, że zapoznam się z pana córeczką i zorientuję się w jej możliwościach. Potem ustalimy dalszą praktykę. Czy ona chce się uczyć?

- Marzy o tym.

- A instrument? Bo ja, niestety, nie mam swojego.

- Przed przeprowadzeniem się tutaj mieszkaliśmy w złych warunkach, w budynku przeznaczonym do wyburzenia i dopiero teraz kupiłem pianino „Calisia”.

- A więc kiedy panu inżynierowi byłoby wygodniej?

- Może jutro o szóstej wieczorem?

- Doskonale. My, nauczyciele, jesteśmy punktualni.

- My, ludzie interesu, również. Chciałbym wiedzieć jednak ile pani liczy za lekcję?

- To ustalimy po poznaniu przeze mnie uczennicy. W muzyce talent i możliwości ucznia mają na te sprawy duży wpływ. Na pewno dojdziemy do porozumienia. Nie jestem taka droga. - Pani Eufemia wzdragła się wymienić sumę. Po co ten milicjant ma wszystko wiedzieć?

- Och, o to nie chodzi - zachnął się inżynier. - Zależy nam przede wszystkim na tym, aby Krysia była od początku dobrze prowadzona. A co do ilości godzin, to szanowna pani sama najlepiej ustali.

Do godziny wpół do siódmej wieczorem nikt więcej się nie zgłosił. Pani Kwiatkowska z pewną ulgą pożegnała młodego sierżanta, ponownie przyrzekając mu wstawienie zamków i wizjera oraz zachowanie najdalej posuniętej ostrożności.

30

Od razu po wejściu do mieszkania Znamierowskich widziało się, że są to ludzie co najmniej dobrze sytuowani. Pan domu nosił się elegancko. Olga, jego żona, nie miała na sobie chyba niczego, co by przedtem nie leżało na wystawie w komisie. Dwaj chłopcy i młodsza od nich jedynaczka także musieli się wyróżniać strojem wśród swoich rówieśników. Ładne meble, kilka ciekawych obrazów na ścianach...

Inżynierostwo okazali się miłymi i towarzyskimi ludźmi. Nie traktowali wizyty nauczycielki jako załatwienia interesu, ale jak odwiedzinę pożądanego gościa. Zaraz na stole zjawiała się kawa i jakieś ciasteczka, a pan domu wyciągnął z barku koniak i kieliszki.

- Bardzo ładnie państwo urządzili swoje lokum - pochwaliła dom pani Eufemia i nie była to bynajmniej grzecznościowa uwaga.

- Nie mogę się dość nacieszyć tym mieszkaniem - odpowiedziała Znamierowska. -

Poprzednie było straszne. Tylko jeden duży pokój przegrodzony prowizoryczną ścianką, zresztą prawie zupełnie ciemny oraz spora kuchnia, w której spali chłopcy. Drugi niewielki pokój zajmowali współlokatorzy.

- Mieszkałam osiemnaście lat w takim kołchozie i wiem co to znaczy. Temu zawdzięczam połowę moich siwych włosów. Za to teraz macie wygodnie. To chyba cztery pokoje? W ogóle w tym osiedlu mieszkania są ładne, rozkładowe i stosunkowo większe niż w innych.

- Może dlatego, że mają maksymalnie dopuszczalny metraż, a gdzie indziej budują na minimum Tak, tu są cztery pokoje, ale na razie zajmujemy jedynie trzy.

- Dlaczego? - wyrwało się Kwiatkowskiej.

- W czwartym są państwo Malinowscy. Ci, którzy przedtem mieszkali z nami.

Pani Kwiatkowska musiała mieć bardzo zdumioną minę, bo gospodyni pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- U nas stosunki mieszkaniowe ułożyły się nieszablonowo, nie tak, jak to zazwyczaj bywa w „kołchozach”. Mieliśmy za współlokatorkę miłą studentkę, z którą serdecznie

31

się zaprzyjaźniłam, pomimo sporej różnicy wieku. Ta przyjaźń objęła później i męża Magdy, Henryka Malinowskiego. Kiedy nasz budynek, a właściwie nie budynek, tylko chylącą się do ruiny rudereę przeznaczono do wyburzenia, mogliśmy otrzymać samodzielne mieszkanie, lecz trzypokojowe. Natomiast razem z Malinowskimi dostaliśmy cztery pokoje. Malinowscy muszą jeszcze trochę poczekać, ale najpóźniej za rok przeprowadzą się do własnego lokalu. Oni też na tym zyskali, bo tam będą mieli dwa duże pokoje z kuchnią, a teraz przydzielono by im pokój z kuchnią. Obie rodziny zdecydowały się więc jeszcze rok wspólnie mieszkać.

- To brzmi jak bajka! Pierwszy raz słyszę o czymś podobnym. Gdybym państwu opowiedziała jedną dziesiątą moich przeżyć z ulicy Górnośląskiej i tak wątpię, czy byście mi uwierzyli. Ale teraz może zostawicie mnie państwo z Krysią. Porozmawiamy sobie i trochę spróbujemy tonu nowego pianina.

Pierwsze zetknięcie z uczennicą wypadło dość pomyślnie. Co prawda o tym olbrzymim talencie muzycznym o którym wspomniał ojciec, nie było mowy, ale dziewczynka miała dobry słuch i wydawała się chętna do nauki. Rodzice patrzyli na swoją jedynaczkę przez pryzmat własnych życzeń i karier laureatek Konkursów Chopinowskich. Dopiero przyszłość mogła dać odpowiedź, ile z tych marzeń i pragnień zostanie urzeczywistnionych.

Po wstępnym przesłuchaniu uczennicy pani Eufemia szczerze przedstawiła sprawę jej rodzicom. Jednakże ich wiara w córkę była tak wielka, że uwagi doświadczonej nauczycielki nie dotarły do ich świadomości. Krysia będzie wielką pianistką, to postanowiono jeszcze przed jej urodzeniem. Teraz rozpocznie naukę muzyki, a kiedy podrośnie pójdzie do szkoły muzycznej. Ustalono cztery godziny lekcji tygodniowo. Rencistka wymieniła kwotę, jaką chciałaby otrzymywać za każdą godzinę nauki. Inżynier roześmiał się w odpowiedzi.

- Szanowna pani za mało się ceni. Ja zaś mam zasadę, że wymagam, ale płacę - i zaproponował znacznie wyższe honorarium.

Pani Kwiatkowska zaczęła się żegnać, lecz gospodarz domu nie chciał jej puścić.

- Musi pani koniecznie zostać na kolacji, prawda Olu? Wprawdzie niczego nadzwyczajnego nie mamy, ale dla jeszcze jednej osoby coś na talerz się znajdzie.

Na tę kolację, wcale nie taką skromną, jak inżynier zapowiadał, zaproszono i współlokatorów, państwa Malinowskich. Oboje przemili ludzie, ona przed dwoma laty skończyła fizykę i pracowała w jakimś instytucie naukowym, Henryk Malinowski zatrudniony był w ZURT - jako elektryk. Obie rodziny rzeczywiście były ze sobą zżyte. Pani Eufemia opowiedziała o wizycie dzielnicowego i śmiała się jaką urządził on zasadzkę na inżyniera Znamierowskiego.

- Dobrze, że mnie pani ostrzegła - zauważył Henryk Malinowski. - Właśnie zamierzałem rozwiesić takie same karteczki, że reperuję radia, telewizory, magnetofony, a w razie potrzeby nawet i lodówki. Mnie by to tak płazem nie uszło. Wlepiliby mi na kolegium z paręset złotych grzywny, a nie daj Boże, żeby się o tym ZURT dowiedział. Tam dopiero obłożyliby mnie miodem.

- Musimy zarobić dużo pieniążków - tłumaczyła pani Magda - za mieszkanie spółdzielcze zapłaciliśmy osiemdziesiąt tysięcy.

- A teraz zbieramy na taunusa. Musi być biały lub popielaty. Czy pani zna te wozy?

- Nie interesowałam się specjalnie samochodami, tyle że odróżniam syrenę od warszawy.

- Taunus to wspaniała maszyna. Europejski ford. Jaka zrywna, jak pięknie wykończona i prosta w obsłudze i remoncie.

- Ale chyba bardzo droga? - zauważyła nauczycielka.

- Muszę go mieć - młody człowiek powiedział to zdecydowanym tonem - niech tam sobie kosztuje, stanę na głowie, ale go zdobędę. Biorę różne „fuchy”. Łapię forszę gdzie się da, ale takiego wozu nie wyrzeknę się. Już mam trochę oszczędności.

- Dacie sobie radę. W razie czego dobrzy ludzie dokończą - inżynier powiedział to takim tonem, iż nie było wą-

pliwości kto będzie tym dobrym człowiekiem - rozumiem dobrze waszą pasję.

- Myślę, że damy sobie radę własnymi siłami - przerwał Malinowski - a co do tego bandyty, grasującego na naszym osiedlu - zwrócił się do Kwiatkowskiej - niech pani nie żartuje i nie kpi sobie z ostrożności naszego dzielnicowego. Jedną z jego dwóch ofiar, Stanisława



Roszkowska, mieszkała bezpośrednio nad nami na siódmym piętrze.

- Jedyna osoba, którą znaleźliśmy w tej kamienicy - dodała pani Ola. - Miła, starsza pani.

- Mój mąż naprawił jej kontakt - dorzuciła Malinowska.

- Poznaliśmy panią Roszkowską w czasie przeprowadzki, bo tak się złożyło, że wypadło to tego samego dnia - wyjaśnił inżynier. - Trzeba było pilnować, żeby rzeczy nam się nie pomieszały. Właśnie padał deszcz i z samochodów na łapu-capu zносиło się wszystko na klatkę schodową.

- Chciała dać mi dwadzieścia złotych za naprawę kontaktu - wtrącił Henryk Malinowski. - Coś tak sknocili i robiło się zwarcie. Nie mogła światła zapalić. Kiedy wspomnę, jaka była wesola i szczęśliwa z nowego mieszkania, a później jak leżała biedaczka w wannie, to mam ochotę osobiście rozprawić się z tym zbrodniarzem!

- Milicja kilkakrotnie pytała nas, czy nie słyszeliśmy czegoś albo czy nie zauważyliśmy kogoś podejrzanego. Niestety, nikt z nas niczego nie słyszał i nikogo nie widział.

- Mnie też dzielnicowy wypytywał, czy ktoś nie kręcił się koło mojego mieszkania. Zwłaszcza interesował go stolarz.

- Może taki zezowaty? - podchwyciła inżynierowa.

- O, właśnie dopiero teraz sobie przypomniałam, że ten człowiek miał zęza - ucieszyła się pani Eufemia. - Był bardzo natrętny. Ze trzy razy mnie nachodził, oferując swoje usługi, chociaż od razu powiedziałam, że niczego nie potrzebuję.

- U nas był dwa razy - skonstatowała pani Magda.

- Ciekawe, to i ja go widziałem. Jechaliśmy razem windą - zauważył Henryk Malinowski. - Ja wysiadłem na szóstym, on pojechał na siódme piętro.

- Tam gdzie mieszkała Roszkowska? Czy to było za życia tej kobiety? - w nauczycielce obudził się Sherlock Holmes.

- Na pewno za życia. Chyba dzień przed tym, jak ją znaleźli zamordowaną.

- To naprawdę ciekawe. Doskonale sobie przypominam, że później ten człowiek już nigdy nie pokazał się w naszym domu.

- Jesteś tego pewna, Olu?

- Absolutnie. Dawniej widywałam go często albo w wieżowcu, albo stojącego przy wejściu. Robił wrażenie, że na kogoś czy na coś czeka.

- Albo obserwował i badał teren.

- Widzę - roześmiał się inżynier - że z pani i z Henryka to para znakomitych detektywów.

Powinniście wspólnie prowadzić swoje śledztwo. Dopiero byłaby sensacja, gdybyście właśnie wy wpadli na trop przestępcy, co nie udało się całym tabunom milicjantów, nieustannie penetrujących naszą ulicę.

- Jeszcze teraz - dorzucił Henryk - cały dzień kręcą się po Gamaszki dwa typki, którzy na milę pachną tajniakami.

- Ja już nawet im się kłaniam - roześmiał się inżynier. - Z władzą trzeba żyć w zgodzie.

- A nasz dzielnicowy chyba nocuje na posterunku. Widuję go od rana do wieczora. No jak, Henryk? - pani Magda zwróciła się do męża. - Zostaniesz pogromcą wampira?

- Dawno przyrzekłem mu zemstę za tę biedną Roszkowską. Myślę, że o tym zezowatym trzeba powiedzieć milicji. Zupełnie zapomnieliśmy, a to może być ważny ślad.

- Nic dziwnego - zauważyła pani Ola - przychodzą do mieszkania całą chmarą, wszędzie wścibiają nosy, a człowieka traktują jak potencjalnego mordercę. To i język kołem staje, a pamięć zawodzi.

- Koniecznie trzeba powiedzieć. Niech pan z samego rana pójdzie do dzielnicowego - nauczycielka była przekonana o ważności tego odkrycia.

- Kiedy, wie pani, rano pracuję - tłumaczył się Malinowski - a po południu mam sporo różnej dłubaninki. Poza tym

34

35

mogą się przyczepić, że nie od razu powiedziałem, chociaż przesłuchiwali mnie ze cztery razy. Tutaj i w Komendzie Dzielnicowej, i w Pałacu Mostowskich. Wolałbym tego uniknąć. Pani jest w tak dobrych stosunkach z sierżantem, że może mu sama wspomnieć o tym zezowatym stolarzu.

- Oczywiście - zgodziła się rencistka. - Jutro odszukam go i powiem. Jeżeli państwo mnie upoważniają, to wspomnę sierżantowi również o tym, że nie tylko trzykrotnie odwiedził mnie ten tajemniczy zezowaty, ale przed zbrodnią kręcił się również po waszej kamienicy.

- W każdej chwili gotowa jestem zeznać i to pod przysięgą - zapewniła pani Ola. - Nie było dnia, żebym go tu nie widziała. Teraz zniknął. A cóż z tego, że nie ma o nim w moich zeznaniach? Po prostu wyleciało mi to z pamięci. Głowy mi za to nie urwą.

- Naturalnie - mąż poparł żonę. - Wszyscy powiemy o tym zezowatym.

- Podobno - przypomniała sobie pani Magda - za ujęcie lub pomoc przy ujęciu mordercy należy się nagroda?

- Niewątpliwie przypadnie ona pani profesor - inżynier Znamierowski nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- Ale skądże mnie? Raczej panu Henrykowi. To on zapamiętał, że ten stolarz ma zezą.

- Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu - ostrzegła pani Ola.

- Bo nie wiemy, czy w ogóle wyznaczono taką nagrodę, a poza tym - Malinowski podchodził do sprawy ostrożnie - ktoś może zaręczyć, że ten człowiek istotnie jest przestępcą?

- Najpierw trzeba go odszukać i ująć.

- O, z tym nie będzie najmniejszego kłopotu - inżynier był optymistą - po waszych zeznaniach milicja odszuka go w kilka godzin.

36

#### Rozdział IV

#### STARSZA PANI DEMASKUJE MORDERCĘ

Pani Eufemia Kwiatkowska nie musiała szukać dzielnicowego. Punktualnie o czwartej sierżant Andrzej Lipkowski zjawił się w mieszkaniu nauczycielki.

- Przyszedłem na zasadzkę - powiedział po przywitaniu się. - Czy wszystko w porządku?

Widzę, że pani założyła ten zatrzask.

Krytycznie obejrzał zamki i pochwalił:

- Dobra robota. Ale jak można robić tak wąską framugę, żeby były takie trudności z umocowaniem łańcucha?

- Uporał się z tym jeden z moich uczniów. On chyba wszystko potrafi zrobić, a do muzyki zdolny, jak rzadko kto. Wróżę mu wielką przyszłość.

- Kto wie - roześmiał się dzielnicowy - może kiedyś na tych drzwiach umieścimy tabliczkę: „zamki zakładał XY, słynny pianista”.

- Ale zasadzki dzisiaj nie będzie - oświadczyła nauczycielka.

- Dlaczego?

- Bo jedna uczennica, córka inżyniera Znamierowskiego, na razie mi wystarczy. Zresztą oni obiecali mi załatwić lekcje z drugą dziewczynką, córką ich krewnych czy też znajomych ze Stalingradzkiej. Rano zdjęłam kartki. A poza tym wiem, kto to tak kręcił się koło mojego mieszkania. Może ten człowiek jest naprawdę mordercą tych biednych kobiet?

Pani Eufemia podzieliła się swoimi wiadomościami z dzielnicowym. Ten aż się za głowę złapał:

- Co za ludzie! Tyle wiedzą, znają tak ważny ślad i pary z gęby nie puścili. Przecież przesłuchiwano ich kilka razy. Ja sam wielokrotnie rozmawiałem z nimi. Miałbym ochotę ich zamknąć albo nałożyć grzywnę parę tysięcy złotych.

37

Mówi się, prosi się: ludzie pomagajcie milicji. Wprost łopata kładłem im do głów, że najdrobniejsze nawet szczegóły mogą mieć istotne znaczenie. Jak groch o ścianę.

- Po prostu zapomnieli - pani Eufemia wzięła w obronę swoich nowych przyjaciół. - Ja również, jeżeli mam jakąś urzędową sprawę, a cóż dopiero kiedy trzeba zeznawać przed groźnym obliczem kapitana lub majora MO, o wielu rzeczach zapominam. Człowiek tylko marzy o tym, żeby rozmowa najprędzej się skończyła i żeby opuścić budynek. Sam pan widzi, że nie celowo ukryli te wiadomości, bo skoro sobie przypomnieli, prosili, abym panu o tym jak najszybciej powiedziała.

- Ten zezowaty na pewno proponował usługi stolarskie?

- Mnie mówił o zamkach i o dopasowaniu okien i drzwi. Więc albo stolarz, albo ślusarz, względnie udawał, że zna się na tym, aby spenetrować mieszkanie.

- Znamierowska twierdzi, że ostatni raz widziała go w przeddzień odkrycia zbrodni?

- To nie Znamierowska, tylko Henryk Malinowski. Nie, źle się wyraziłam. Jechał z tym człowiekiem windą. Malinowski wysiadł na swoim piętrze, a zezowaty pojechał jedną kondygnację wyżej.

- Akurat tam gdzie mieszkała Roszkowska. W przeddzień odkrycia zbrodni, to znaczy w dniu zabójstwa, bo kiedy emerytkę kolejową znaleziono martwą, nie żyła od przeszło dwudziestu czterech godzin. Zgadza się. Niech pani opisz tego człowieka.

- Bo ja wiem? Wzrostu chyba średniego. W jasnym płaszczu. Na pasku miał teczkę z narzędziami. Czapka cykli-stówka. Chyba blondyn, ale nie za jasny. Wiek około czterdziestki. A może nieco więcej? Wyraźny zez lewego oka.

- Kiedy pani widziała go ostatni raz?

- Z tydzień temu.

- Potem się nie pokazywał?

- Na pewno nie.

- Kręcę się stale po ulicy, zaglądam do wszystkich domów, nie ma ich znowu tak wiele przy ulicy Napoleona

38

Gamaszki, a takiego faceta nie przypominam sobie. Najwidoczniej unikał spotkania ze mną. No nic, znajdziemy go, choćby się schował pod ziemię. Jeszcze raz dziękuję pani za informacje.

Dzielnicy odwiedził także Znamierowskich. Rozmawiał z nimi i z ich sublokatorami. Potwierdzili opowiadanie nauczycielki i uzupełnili rysopis „zezowatego”. Z tą zdobyczą sierżant Lipkowski pojechał do Pałacu Mostowskich, do majora Andrzeja Wyględowskiego. Oficer milicji uznał raport sierżanta za tak cenny, że razem z nim natychmiast udał się do podpułkownika Janusza Migonia.

- Jak tam, sierżancie - podpułkownik powitał uśmiechem dzielnicy - major Polakiewicz zmył wam głowę?

- Eee, nie. Jedyne komendant pouczył mnie, że tego rodzaju sprawy załatwia się na drodze służbowej, ale w końcu wyraził zgodę.

- No to z czym przychodzicie?

- Zdaje się, że sierżant trafił na poważny ślad - major zdał sprawę swojemu zwierzchnikowi z odkrycia istnienia „zezowatego”.

- Wiadomość rzeczywiście ważna - zgodził się podpułkownik. - Pokrywa się zresztą z zeznaniami syna drugiej zamordowanej, Ireny Kowalczyk, że ktoś jej naprawiał szafkę. A „zezowaty” właśnie podaje się za stolarza. Czy w tym drugim domu także sprawdzaliście? Kręcił się tam?

- Nie miałem czasu. Przyjechałem do Pałacu Mostowskich bezpośrednio po rozmowie z nauczycielką i Znamierowskimi. Nie chciałem podejmować żadnych kroków bez wiedzy i zgody pana majora.

- Ślicznie. Wracajcie teraz na ulicę Gamaszki i zbierajcie dalsze wiadomości o tym „zezowatym”. Gdybyście go spotkali, zatrzymać natychmiast - zdecydował podpułkownik.

- Polecę to również wszystkim patrolom i wywiadowcom. Już nam się nie wymknie.

Znajdziemy go w ciągu kilku dni, choć byśmy mieli zatrzymać wszystkich zezowatych, jacy są w Warszawie.

39

A jednak upłynął cały tydzień i „zezowaty” jakby rozpląnął się w powietrzu. Nie natrafiono na najmniejszy ślad tajemniczego stolarza. Na próżno specjaliści wywiadowcy - fizjonomiści, którzy mają wybitne zdolności identyfikowania ludzi według podanego im rysopisu, odwiedzali dworce, knajpy i krążyli po ulicach Warszawy.

Aż tu pewnego dnia pani Eufemia wyszła z domu, aby udać się na lekcję z małą Krysia. Przed nią mignął jasny płaszcz i cyklistówka w kratę. Coś znajomego! Nauczycielka przyśpieszyła kroku i w tej chwili śledzona przez nią postać zniknęła w budynku oznaczonym numerem dwadzieścia jeden. Jednakże rencistka zdążyła zauważyć brązową torbę przewieszoną przez ramię i nabrała pewności, że ten człowiek to właśnie poszukiwany przez milicję „zezowaty”.

Rencistka przyśpieszyła kroku i prawie biegiem wpadła do kamienicy. Niestety spóźniła się o sekundy. Na klatce schodowej nie było już nikogo. Czerwone światelko wskazywało, że winda jest w ruchu. Potem rozległ się charakterystyczny łoskot zamykanych drzwi i światelko zgasło. Gdzie podział się uciekinier? W tym wieżowcu jest dziewięćdziesiąt mieszkań.

Kwiatkowska szybko się zdecydowała. Szukanie dzielnicowego nie ma najmniejszego sensu. Zanim znajdzie sierżanta, „zezowaty” zdąży umknąć. Rencistka pojechała na górę do mieszkania Znamierowskich. Inżyniera nie zastała w domu, ale pani Ola poinformowała swoją nową przyjaciółkę, że pan Henryk coś tam dłubie przy radiu w swoim pokoju. Nawet nie pukając, pani Eufemia wtargnęła do środka.

- Jest „zezowaty”! Przed chwilą go widziałam. Musimy go ująć.

Elektrotechnik siedział przy stole całym założonym częściami radiowymi. Na słowa nauczycielki poderwał się.

- Co pani mówi? Gdzie jest?

- Właśnie wszedł do sąsiedniego budynku. To na pewno on. Dobrze mu się przyjrzałam. Nie ma ani minuty do stracenia.

- Zaraz, zaraz. Jak my to zrobimy? - Malinowski nie tak łatwo się zapalał. - Czy pani wie dokąd poszedł?

- Pojechał gdzieś wysoko windą. Niech pan idzie ze mną.

- Przecież nie będziemy biegali od mieszkania do mieszkania.

- A po co? Pan stanie w drzwiach wejściowych budynku. Będzie pan pilnował, żeby facet nie uciekł. A ja tymczasem pobiegnę po sierżanta.

- A jeżeli dzielnicowego nie ma na Gamaszki?

- O tej godzinie zawsze jest w swoim biurze. Nawet wywieszka informuje, że teraz przyjmuje interesantów. Niech pan się pośpieszy.

- Już idę, tylko włożę płaszcz - Henryk Malinowski wybrał ze skrzynki z narzędziami duży,

ciężki młotek i schował go do kieszeni marynarki. - To na wszelki wypadek - wyjaśnił - nie mogę być bezbronnym wobec podwójnego mordercy.

Wybiegli z mieszkania. Pani Ola przyrzekła, że będzie obserwowała ulicę z balkonu i da znać, gdyby „zezowaty” zdołał wymknąć się pogoni.

- Tu wszedł. Niech pan nie pozwoli mu odejść. Biegnę po milicjanta - szepnęła zdyszana Kwiatkowska.

- Proszę się pośpieszyć. Już ja go przytrzymam.

Nauczycielka prawie bez tchu dotarła do biura administracji bloków, gdzie dzielnicowy urządził swoją kancelarię w małej izdebce. Akurat przyjmował jakiegoś interesanta, a kilka osób czekało przed drzwiami.

- Gdzie się pani pcha? A w kolejce nie łaska? My także czekamy.

- Kiedy ja mam sprawę...

- A my to co? Na kawę przyszliśmy? Każdemu pilno. Mądrała.

Stojący przed drzwiami ani myśleli przepuścić rencistkę do dzielnicowego.

- Puście mnie państwo, tu chodzi o życie.

- Życie? A pani już umiera?

Pani Kwiatkowska nie czekała dłużej. Odepchnęła jakąś kobietę, która tym razem nie zaprotestowała, i wdarła się do kancelarii.

40

41

- Jest „zezowaty”! - zawołała. - Pod dwudziestym pierwszym...

Milicjant nie zadawał zbędnych pytań. Wybiegł z pokoju, sprawdzając jedynie, czy kabura i pistolet są na swoim miejscu. Pani Eufemia objaśniała, ledwie dotrzymując mu kroku.

- Wszedł do tego wieżowca. Tam w drzwiach stoi pan Malinowski i pilnuje, żeby nie uciekł.

Naturalnie interesanci nie czekali na powrót sierżanta, lecz żądni sensacji, podążyli za tą parą. Dzielnicowy, jako najmłodszy i najbardziej sprawny fizycznie, zdystansował wszystkich. Już z daleka spostrzegł, że w drzwiach wieżowca szamocą się dwóch ludzi.

Jeden w jasnym, drugi w ciemnym płaszczu.

- Stój! - krzyknął podbiegając do bijących się, których otaczał przygodny tłumek gapiów.

Osobnik w czarnym płaszczu, dzielnicowy z bliska rozpoznał w nim Henryka

Malinowskiego, puścił trzymanego za kołnierz. Drugi nie próbował uciekać. Odwrócił głowę w kierunku wołającego. Tak, ten człowiek miał potężnego zęza.

- Wolnego, wolnego panie władzo - „zezowaty” nie kwapił się do spełnienia rozkazu. - To jego trzeba - palcem wskazał na Malinowskiego - zabrać do pierdła. Bandyta jeden! Wychodzę sobie spokojnie z domu. a on rzuca się na mnie i trzyma za frak!

Przez tłum przepchał się jakiś człowiek w szarym palcie. Podbiegł do „zezowatego” i zręcznym ruchem chwycił go za ręce. Rozległ się metaliczny trzask i mężczyzna w jasnym płaszczu miał na rękach kajdanki. Dopiero teraz wywiadowca dokładnie przyjrzał się zatrzymanemu. Aż gwizdnął ze zdziwienia.

- Zyzio, to ty? Prędzej bym się śmierci spodziewał.

- Panie inspektorze, co się tu dzieje? - „zezowaty” nie dawał za wygraną. - Idę spokojnie, facet na mnie się rzuca, a pan mi bransoletki zakłada. Staremu znajomemu?

Tłum na ulicy gęstniał. Dzielnicowy rozejrzał się. Tłum stawał się coraz bardziej wojowniczy.

- Kolego Lisewski, zabierzcie go do mojej kancelarii. Ja będę was ochraniał. Tylko szybko. Wywiadowca chwycił przestępcę pod rękę i popchnął w stronę budynku, gdzie mieściło się biuro dzielnicowego.

- Co się pan pcha? Sam pójdę! - „zezowaty” ciągle nie orientował się w sytuacji.

Zjawił się i drugi wywiadowca. A czas był najwyższy, bo tłum przybierał coraz bardziej wrogą postawę. Ostatnie trzydzieści metrów milicjanci i ich podopieczny przebyli biegiem. Wreszcie wpadli do pomieszczenia administracji domów.

Tymczasem wiadomość, że ujęto groźnego zbrodniarza, lotem błyskawicy rozeszła się po osiedlu „Za wiatrakami”. A że w Warszawie ludzie lubią się gapić, więc też przed budynkiem administracji zbierał się coraz większy tłumek. Naturalnie znaleźli się w nim i najrozmaitsi chuligani, dla których „draka z milicją” byłaby świetną zabawą. A wiadomo, zbiorowisko ludzi podburzone czymś, może łatwo stać się nieobliczalne w swoim postępowaniu.

- Ale się narodu zbiegło - zauważył wywiadowca Lisewski, obserwując ciżbę stojącą na ulicy.

- Telefonujcie do dzielnicy - polecił sierżant - a ja wyjdę i spróbuję ich namówić, żeby się rozeszli.

Dzielnicowy wyszedł z lokalu administracji i stojąc w progu zwrócił się do zebranych ludzi.

- Obywatele! Rozejdźcie się. Po co tu czas tracicie. Tu nic nie ma ciekawego.

- Złapaliście tego bandytę, co zamordował dwie kobiety? - zapytał ktoś z tłumu.



- Pobiło się dwóch mężczyzn, a wy zaraz wyobrażacie sobie Bóg wie co. Nawet jeszcze nie wiem, kogo zatrzymaliśmy. Nie przeszkadzajcie. Rozejdźcie się.

- To on! To ten bandzior - podburzył ktoś z tyłu. - Po co go bronicie?

- Pewnie. Z takim najlepiej krótko się załatwić - podchwycił drugi z podburzaczy.

- Ludzie rozejdźcie się. Zaraz przyjedzie milicja i go zabiorą. Wszystko sprawdzimy, kim jest ten człowiek. Proszę rozejść się.

42

43

Perswazje sierżanta częściowo pomogły. Sporo ludzi zadowolilo się tym, co widzieli i co usłyszeli i zaczęli się rozchodzić. Wielu jednak nadal nie ruszało się z miejsca, czekając na dalsze sensacje.

Dzielnicowy widząc, że tłumek nieco się przerzedził i uspokoił, wrócił do lokalu administracji domów.

- No, chyba najgorsze minęło? - zauważył wywiadowca Lisewski.

- Bałem się, że mogą rzucać kamieniami - dorzucił drugi - sam słyszałem jak ktoś ich podburzał.

- Do tego by chyba nie doszło - pocieszył się dzielnicowy - ludzie tutaj spokojni. Jeszcze się nie zapoznali ze sobą. Każdy jeszcze cieszy się swoim mieszkaniem i nie zawiera bliższych przyjaźni z sąsiadami.

- To prawda, ale ludzie pamiętają, że ten drań dwie kobiety utrupił.

- Ależ panowie, czego wy ode mnie chcecie - dopiero teraz zatrzymany zrozumiał, względnie udawał, że to go zaskoczyło, pod jakimi zarzutami został zatrzymany.

- Już ty, Zyziu, teraz nic nie mów. Siedź spokojnie i ciesz się, że to się tak skończyło. Mogłoby być dla ciebie dużo gorzej.

- Jak Boga kocham, za kogo mnie bierzecie?

- Wy tłumaczysz się w komendzie, albo u pana prokuratora.

- Dzwoniliście na komendę? - przypomniał sobie dzielnicowy.

- Tak. Zawiadomiłem też Pałac Mostowskich. Tylko patrzeć jak przyjadą.

- Żeby jak najprędzej.

- Za kwadrans powinni tu być.

Rzeczywiście nie upłynęło i dziesięć minut, jak dwa radiowozy zatrzymały się przed budynkiem. Z jednego samochodu wysiadł major Polakiewicz wraz z dwoma milicjantami.

Drugi najwidoczniej wzięto jako ewentualną osłonę, bo wywiadowca Lisewski poinformował komendę dzielnicy o tłumku gapiów, który zebrał się na ulicy na wiadomość o zatrzymaniu groźnego przestępcy.

- No co, sierżancie - major spytał Lipkowskiego - mieliście tu parę gorących chwil?

- Nie było tak źle - wyjaśniał dzielnicowy - wiadomo ludziska są cięci na tego drania, ale przytrzymaliśmy go tak szybko, że nim się kto zorientował, już byliśmy z nim tutaj. Tłum się zebrał, to prawda, ale żadnych ekscesów nie było. Teraz już większość się rozeszła.

- To dobrze, że na tym się skończyło - major był bardzo zadowolony z całego przebiegu sprawy. - Przyznaję, trochę się bałem, że będą go chcieli odbić z waszych rąk i samemu się z nim rozprawić.

- Nie pozwolilibyśmy, obywatelu majorze.

- Lepiej jednak, że nie próbowali.

Polakiewicz obrzucił ciekawym spojrzeniem siedzącego w kącie przestępcę, który ciągle miał skute ręce. Jeszcze ciągle drżał ze strachu.

- Chyba go znam? - stwierdził.

- Na pewno panie majorze - wtrącił jeden z wywiadowców. - Przecież to Waław Karp nazywany „rybką” lub „Zy-ziem”. Nasz stary klient z Targówka. Specjalista od bielizny na strychach i od otwierania cudzych zamków. Ale żeby się rzucił na „mokrą robotę” tego się po nim nie spodziewałem.

- Panie majorze, przysięgam, jestem niewinny. Czego wy ode mnie chcecie?

- Dobrze, dobrze. Nie będziemy tu rozmawiali. Będzie czas na wyjaśnienie wszystkiego.

Major spojrział przez okno. Tłumek stał tam ciągle, ale nie przejawiał agresywnych zamiarów.

- Myślę, że możemy go brać. Prawda, Lipkowski?

- My wyjdziemy pierwsi, a wy z nim od razu do samochodu - dzielnicowy wolał być ostrożny.

W ciągu paru sekund zatrzymany znalazł się we wnętrzu radiowozu, który natychmiast ruszył. Stało się to tak szybko, że gapiący się ludzie nawet niewiele zauważyli z przebiegu tej operacji. Za pierwszym radiowozem pojechał i następny, z majorem Polakiewiczem. Za minutę w budynku administracji bloków pozostał jedynie dzielnicowy i dwaj wywiadowcy. Ludzie rozchodzi-

li się po swoich mieszkaniach, komentując całe zajście. Wszyscy cieszyli się, że nareszcie na osiedlu „Za wiatrakami” zapanuje spokój.

#### ROZDZIAŁ V ZEZNANIA „ZYZIA”

Wacława Karpia przewieziono do Komendy Stołecznej MO, do Pałacu Mostowskich, gdzie przede wszystkim musiał się „Zyziem” zaopiekować lekarz. Po trzech godzinach i dwóch zastrzykach uspokajających „rybka” na tyle doszedł do siebie, iż doktor uznał go za zdolnego do poddania przesłuchaniu. Dwóch milicjantów wprowadziło niebezpiecznego przestępcę do pokoju majora Stanisława Wyględowskiego.

Po spisaniu personaliów oficer powiedział:

- Nie będziemy sprawy owijać w bawełnę. Doskonale wiecie dlaczego was zatrzymano.

Zamordowaliście dwie kobiety: Stanisławę Roszkowską i Irenę Kowalczyk. Zdajecie sobie sprawę, że tylko szczere przyznanie się do winy i opowiedzenie jak było, może polepszyć waszą sytuację. Nie pierwszy raz spotykacie się z milicją i sądem, znacie kodeks...

- Panie majorze - złodziejaszek z Targówka znowu zbladł i ręce zaczęły mu drżeć - dlaczego pucujecie mnie do tej sprawy? Skąd mnie do tego, żeby zabijać? A potem trupa do wanny? Pan major mnie zna. Jeżeli był ktoś nieuważny, albo żałował kilku groszy na dobre zamki, to przecież takiego frajera należało ukarać, ale mokra robota? Ja tych kobiet nie widziałem.

- Karp, nie bądźcie naiwni. Z dziećmi macie do czynienia?

Padaly pytania. Major używał różnych metod. Zastawiał misterne pułapki. Bez skutku.

„Zyzio” upierał się przy swojej niewinności i oświadczał, że ani Roszkowskiej, ani Kowalczyk w ogóle nie znał. W miarę upływu czasu przesłuchiwany robił się coraz bardziej nerwowy. Płakał, chciał klękać i całować oficera milicji po rękach, to znowu

wpadał w podniecenie i krzyczał, że niewinnego chcą zamordować.

Major Sozański, który jako znawca psychologii i patologii asystował przy tym przesłuchaniu, dyskretnie dał znak koledze, aby przerwał tę rozmowę. Przy tym stanie przesłuchiwanego mijała się ona z celem.

- No dobrze, Karp - zdecydował Wyględowski - posiedzicie parę dni w celi, przemyślcie, nabierzecie rozumu, a wtedy pogadamy. Kłamać nie ma sensu, my i tak aż za dużo wiemy. Milicjanci wezwani przez oficera, odprowadzili „Zyzia” do aresztu.

- Stary kryminalista, a zachowuje się jak dziecko.

- Nie można się dziwić - wyjaśnił major Sozański - dotychczas występował przed milicją jako podrzędny złodziejaszek. Teraz spotkał się ze znacznie poważniejszymi zarzutami. Wielokrotny zabójca, a zwłaszcza taki, który popełnia przestępstwo z pobudek seksualnych, a Karp na pewno należy do tej kategorii, zaczyna uważać się za nieomylnego i nieuchwytnego. Ten człowiek popełnił dwie zbrodnie. Od ostatniej minęło przeszło trzy tygodnie. Poczul się więc zupełnie bezpieczny. Aresztowanie go musiało wywołać u niego swego rodzaju szok. On ciągle nie może pogodzić się z oczywistością faktów, dlatego postanowił wszystkiemu zaprzeczać. Gdyby go major zapytał, czy ten sufit jest biały, odpowiedziałby, że czarny.

- A te łzy, te wybuchy gniewu?

- Można wytłumaczyć to dwojako. Albo nerwy ponoszą przestępcę, albo zręczna gierka starego kryminalisty.

- To jednak przeczy regule. - Wyględowski nie był przekonany - zawodowcy tak się nie zachowują. Przy przesłuchaniach i w sądzie są grzeczni i układni. Wiedzą, że każdy wybryk może ich kosztować surowszy wyrok lub utratę pewnych przywilejów w areszcie.

- Jak już powiedziałem, tym razem nie można Karpia traktować jako zawodowca. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to zbrodzenie mordujący nie dla zysku, lecz dla dogodzenia niskim instynktom. Badania lekarskie na pewno potwierdzą mój pogląd. Wystarczy spojrzeć na czaszkę tego człowieka... Co major zamierza robić?

- Na jakieś dwa, trzy dni dam mu spokój. Będę badał świadków i zbierał dowody. Poślę do Zakładu Kryminalistyki narzędzia znalezione przy „Zyziu”. Niech sprawdzą, a może uda się ustalić, że tymi narzędziami dokonywano naprawy szafki w mieszkaniu Ireny Kowalczyk i okna u Roszkowskiej. Byłaby to bardzo poważna poszlaka. A przede wszystkim wystąpię do prokuratora, żeby dał sankcję na areszt Wacława Karpia.

- Z tym nie będzie kłopotów. Dowody i teraz są już bardzo obciążające.

Uzbrojeni w zdjęcia bandyty wywiadowcy milicji obchodzili wieżowce, w których mieszkały przed swoją śmiercią obie zamordowane kobiety. O dziwo, ludzie przypomnieli sobie sporo szczegółów. Chętniej też rozwiązywały się im języki. W wieżowcu, gdzie mieszkała Roszkowska, aż czterech lokatorów potwierdziło bytność stolarza, kręcącego się po kamienicy w dniu morderstwa, a nawet w godzinach popołudniowych, w tym samym

więc czasie, kiedy popełniono zbrodnię.

Także i w drugim budynku, tam gdzie mieszkała Irena Kowalczyk, doskonale przypomniano sobie natrętnego „Zyza”. Po kilka razy dzwonił on do tych samych mieszkań, ofiarowując wszelkiego rodzaju usługi naprawcze. Nie pamiętano jednak, czy to było w dniu śmierci matki lekarza. W każdym bądź razie po jej zabójstwie zezowaty stolarz już więcej tam się nie pokazał.

Major Wyględowski kilkakrotnie przesłuchiwał Waclawa Karpia. Ten zmienił nieco taktykę swoich zeznań. Nie zaprzeczał, że odwiedzał obydwie wieżowce, ale z uporem maniaka twierdził, że nigdy nie był w mieszkaniach zabitych kobiet.

Jedną z cech majora Stanisława Wyględowskiego była jak najdalej posunięta lojalność wobec swoich podkomendnych. Chociaż więc oficer milicji uważał, że dzielnicowy z ulicy Napoleona Gamaszki zrobił swoje, to jednak zapoznał sierżanta Andrzeja Lipkowskiego zarówno z pro-

48

49

tokołami przesłuchań podejrzanego, jak też z całością akt sprawy.

- Panie majorze - poprosił młody człowiek - bardzo bym chciał uczestniczyć choć w jednym przesłuchaniu Karpia...

- Dobrze, kolego - zgodził się oficer milicji. - Sądzę, że powinniście być obecni wówczas, kiedy będę dysponował wynikami ekspertyz. Telefonowano do mnie z Zakładu Kryminalistyki, że pierwsze próby wypadły obciążająco dla „rybki”, ale oficjalne dokumenty mają mi przysłać dopiero za dwa dni. Wtedy i was zaproszę. Może przy niezbitych dowodach ten człowiek wreszcie zaprzestanie bezsensownego zaprzeczania wszystkiemu.

Do tego „głównego” przesłuchania Waclawa Karpia major Wyględowski przygotował się starannie. Z góry obmyślił jaką taktykę zastosuje i w jaki sposób zaskoczy podejrzanego.

Na przesłuchanie zaproszono nie tylko sierżanta, lecz również i majora Sozańskiego.

Maszynistka miała „na gorąco” zapisywać pytania i odpowiedzi.

Po wstępnych formalnościach major zadał pierwsze pytanie:

- Czy przyznajecie się do zabójstwa Stanisławy Roszkowskiej i Ireny Kowalczyk?

- Nie. Ciągle panu majorowi to mówię. Nie dam się przypuścić do tej sprawy.

- Czy znaliście Irenę Kowalczyk?

- Nie. \*

- Czy byliście w mieszkaniu Stanisławy Roszkowskiej w dniu osiemnastego września bieżącego roku?

- Nigdy tam nie byłem. Nawet nie wiem gdzie ona mieszkała. Nie byłem też i u tej drugiej, pani Kowalczyk.

Major wyciągnął z szuflady brązową torbę.

- Czy to wasza torba?

- Pan major wie, że to moja.

Oficer otworzył torbę i podsunął ją Wacławowi Karpowi.

- Sprawdźcie, czy wszystko jest i czy nie ma niczego więcej. Żebyście później nie mówili, że wam podrzucono.

- Co też pan major... Do głowy by mi to nie przyszło - i „Zy-zio” bez większego zainteresowania zbadał wnętrze torby.

50

- Wszystko jest? Niczego nie brakuje?

- Niczego.

- Dobrze. To wasz strug?

- Tak, to mój hebel.

- A ten klej stolarski w słoiku, wasz?

- A czyj ma być? - przesłuchiwany zaczął się denerwować. Orientował się, że oficer milicji zastawia na niego jakąś pułapkę, ale jaką? - Przecież nie ukradłem.

- To dobrze. A teraz, obywatelu Karp, pokażę wam kilka fotografii - to mówiąc

Wyględowski wydobyl z biurka dużą, szarą kopertę i wysunął z niej kilkanaście zdjęć na lśniącym papierze.

- Oto jest pokój Roszkowskiej. Poznajecie?

- Co mam poznawać? Nigdy tam nie byłem.

- Zgoda. Nie byliście. A to jest zdjęcie okna z tego mieszkania - oficer podał „Rybce” następną fotografię.

- Widzę, że okno. Ślepy nie jestem.

- Teraz pokażę wam - major wziął następną odbitkę - ramę tego okna, a właściwie tylko jej maleńki wycinek, tego miejsca, gdzie heblowaliście, bo nie chciało się domknąć.

- Nic nie heblowałem!

- Nie śpieszcie się tak z odpowiedziami. Najpierw obejrzyjcie wszystkie fotografie, później będziemy na ten temat rozmawiać. Widzicie na drzewie ramy te małe garbki? Gołym okiem są prawie niedostrzegalne, ale to zdjęcie powiększone jest pięćdziesiąt razy.

Wacław Karp miał minę, jak gdyby słowa oficera w ogóle go nie obchodziły, zaś major demonstrował kolejną fotografię.

- A to jest także pięćdziesięciokrotne powiększenie noża w waszym strugu, czy jak tam mówicie heblu. Ten nóż ma z lewej strony maleńką szczerbinę. Widocznie kiedyś zetknął się z jakimś gwoździem. A co ciekawsze, ta szczerbinka jest identyczna z tymi garbkami na ramie okna.

- To są bajeczki dla grzecznych dzieci - odburknął „Zyzio”.

- Słuchajcie więc dalej mojej bajeczki. Oto urzędowa ekspertyza Zakładu Kryminalistyki.

Przeczytam wam:

51

„Ustalono niezbitcie, że rama okienna w mieszkaniu Stanisławy Roszkowskiej była strugana za pomocą struga przedstawionego do zbadania. Świadczą o tym zacięcia drzewa identyczne z rowkiem na nożu struga. Ponadto ekspertyza niektórych trocin i pyłu drzewnego, znajdującego się wewnątrz struga, wskazuje bez najmniejszej wątpliwości, że pochodzą one z tego samego drzewa, z którego wykonano wyżej wymienioną ramę okienną”.

„Rybka” milczał. Oficer milicji zauważył ironicznie:

- Sami dobrze rozumiecie, że dzięki tym moim bajeczkom, w waszą bajkę, że nigdy nie byliście w mieszkaniu Stanisławy Roszkowskiej, nie uwierzy nie tylko sąd, ale nawet wasz adwokat. Ale to jeszcze nie koniec... Chcecie, Karp, to możecie zapalić. Papierosy i zapalniczki leżą na stole - major celowo zrobił krótką przerwę i udawał, że czegoś szuka w szufladzie swojego biurka. Wreszcie wyciągnął z niego następny dokument.

- Nie palę.

- Macie rację. To bardzo zdrowo. Więc słuchajcie dalej. Oto inna ekspertyza Zakładu Kryminalistyki: „Po zbadaniu kleju, którego użyto do naprawy lewej tylnej nogi szafki mahoniowej z mieszkania Ireny Kowalczyk stwierdza się, że do tej naprawy użyto kleju stolarskiego ze słoika przedstawionego do badania. Ponad wszelką wątpliwość wskazuje na to fakt, że w kleju użytym do naprawy szafki znaleziono drobiny tomatu i oleju

rzepakowego. Takie same drobiny pomidorów i tłuszczu znaleziono w ziarnkach kleju przedstawionego do badania, a także na ściankach słoika. Prawdopodobnie słoik ten pierwotnie użyty był do jakiejś konserwy rybnej w tomacie, a później, niezbyt dokładnie wymyty, wykorzystany został do przechowywania kleju". No, jak wam się podoba moja druga bajeczka?

Wacław Karp nadal milczał.

- Widzicie, „rybka”, na przyszłość trzeba dobrze myć słoiki po dorszu w pomidorach.

Obawiam się zresztą, że nie będziecie mieli ku temu wiele okazji w swoim życiu.

Zapanowała cisza.

- No co, nic nie macie do powiedzenia?

I nagle Karp zaczął płakać. Zwyczajnie, po babsku, czy też po dziecinnemu płakać. Łzy nieścierane toczyły się po policzkach jedna za drugą. Przykry jest widok płaczącej kobiety, ale szlochającego bezgłośnie mężczyzny - wprost okropny. Działa nawet na milicjantów, którzy przecież w swojej służbie już niejedno widzieli.

- Niech pan się uspokoi - major Adam Sozański powiedział to możliwie najbardziej dobrotliwym tonem, nalał z karafki wody do szklanki i podsunął ją przesłuchiwanemu. -

Proszę to wypić, zapanować nad sobą i wszystko nam szczerze opowiedzieć,

Wacław Karp machinalnie wypił podaną mu wodę i niezdarnie rękawem ścierał łzy z twarzy.

- Panie majorze, jak Boga najświętszego kocham, na życie moich dzieci przysięgam, ja nie tknąłem nawet palcem tych kobiet.

- Zastanówcie się, Karp, kto wam uwierzy? Znacie sąd, nieraz siedzieliście na ławie oskarżonych. Czy znajdzie się choć jeden sędzia albo ławnik, który weźmie wasze słowa za prawdę? Choć byście od rana do wieczora powtarzali, że nie znaliście ani Roszkowskiej, ani Kowalczyk, małe dziecko wam powie, że kłamiecie.

- Panie Karp - wtrącił Sozański - czy zamiast bez sensu zaprzeczać prawdzie, nie lepiej opowiedzieć jak było?

- Panie majorze, powiem szczerą prawdę. Jak na spowiedzi.

- No! - major Wyględowski odetchnął z ulgą. - Nareszcie nabieracie rozumu. Mówcie!

- Kiedy ostatnim razem wypuszczali mnie z pierdła, przepraszam, z więzienia karnego, co to za te dwa dywany dostałem trzy lata, pan naczelnik powiada do mnie: „Uważaj «rybka», już nie te lata i nie to zdrowie. Trzeba zmienić fach, bo inaczej z więzienia nie wyjdiesz.



Co zrobisz skok, zaraz wpadniesz". Żeby kazanie mi prawil, to wiadomo: mowa-trawa. Ale kiedy tak na rozum podjechał, pomyślałem sobie, że w tym jest dużo racji. W karku coś strzyka, a z rwania nóg mogę pogodę przepowiadać lepiej niż sam Wicherek. A co do ostatniej wsypy, to gdybym był

52

53

młodszy, przecież wtedy z tymi dywanami żaden hint, przepraszam, pan wywiadowca, nigdy by mnie nie dogonił. A tak, dywany rzuciłem i to mnie capli. Przyszło kiblo-wać dwa lata, bo za dobre sprawowanie rok mi zdjęli.

- To wszystko my wiemy.

- Kiedy wróciłem do domu, kobieta też mi trajluje, żebym wziął się za uczciwą pracę. Syn zdaje maturę, chce iść na inżyniera, a o zawodzie ojca pisać ma „złodziej”? Tak mnie skołowali, że postanowiłem wziąć się za robotę.

- Wychodząc z więzienia dostaliście skierowanie do zakładów im. Róży Luksemburg. Pracowaliście tam niecałe trzy tygodnie. Nawet po ostatnie pieniądze nie przyszliście.

- Co to za pieniądze? Same grosze, a rzuciłem, bo to nie dla mnie. Codziennie trzeba przychodzić do roboty. Ciagle to samo. Na jednym miejscu.

- Przecież w więzieniu przyzwyczailiście się do przebywania w jednym miejscu.

- Więzień to jest więzień, a wolność co innego. Rzuciłem. Znam się na stolarce, mebel fornirowany potrafię zrobić, każdy klucz też podpiłuję jak należy, bez wyjmowania zamka. Tyle dziś frajerstwa wprowadza się do nowych domów i tam zarobek tylko czeka.

Skompletowałem narzędzia, wrzuciłem w torbę i poszedłem do nowych bloków za Żelazną Bramą. Dopiero tutaj zobaczyłem, że takich mądrych jak ja jest wielu. Jak mnie na tych budowach zobaczyli chłopaki z Muranowa i z Woli, od razu do mnie: „Chodu, bo ci nogi z..., za przeproszeniem, wyrwiemy". Wiadomo, w cudzą parafię wlałem. Ja tam nie bojaźliwy, mógłbym paru swoich koleżków skrzyknąć, ale nie chciałem draki. Jak uczciwa praca, to uczciwa. Wywalco-wałem się stamtąd i pojechałem na tego Gamaszki. Na Pradze jeszcze się taki nie urodził, co by mi złe słowo spróbował powiedzieć. Tam też pętało się sporo cwaniaczków, ale nie narzekam, można było żyć. Panowie sami wiedzą, w nowych mieszkaniach wszystko co ma się otwierać, to i siłą nie ruszysz. A wszystko co ma być zamknięte, to nie domkniesz. Tu się coś podheblowało, tam się młotkiem stuknęło, gdzie indziej zasuwę założyło.

I szyby wprawiałem. Najmarniej stówę dziennie się obciągnęło, bywało że dwie i trzy. Ja nawet nie wiedziałem jak ta kobieta się nazywa. Dopasowałem jej okna, bo jedno się nie domykało, a innych nie można było rozkręcić do mycia. Paskudziarze skręcili śruby na świeży lakier, to musiało skleić na mur-beton. Grzeczna kobieta była. Herbatką poczęstowała, jeszcze przeproszała, że kielicha w domu nie ma, bo niepijąca. Sercowa podobno. Siedemdziesiąt złotych dała za dwie godziny dłubaninki.

- Kiedy pracowaliście u Roszkowskiej?

- Ja tam daty nie pamiętam, ale jeżeli pan major mówi, że to było w ten sam dzień, kiedy zrobili z nią koniec, tak mogło być.

- W jakich godzinach pracowaliście?

- Umówiłem się z nią poprzedniego dnia, że przyjdę po drugiej. Chyba tak było. Wyszedłem po piątej. Zostawiłem ją zdrową i całą. Po co miałbym ją zabijać? Dla tych paru groszy? Sama mówiła, że jest emerytką. Skarby u takiej się znajdzie? Zresztą ja nie z tych, co na mokro. Dwadzieścia lat byłem uczciwym złodziejem. Niech pan major zapyta po dzielnicach albo tutaj w „kradzieżówce”, czy zdarzyło się, żeby „Zyzio” dokumentów albo książeczki PKO nie odesłał.

- U Kowalczyk też byliście?

- Pan major wie, że byłem. A jakże, szafkę zreperowałem. Dała mi pieniądze, zamek kupiłem. Nie lipe, ale taki, że dobry fachowiec go nie otworzy. Zamocowałem jak się patrzy. Wiem, że kiedy hinty chciały tam wejść, musiały siekierą łamać.

- To było też w dniu śmierci Ireny Kowalczyk?

- Nie. Z tydzień przed tym. Pamiętam, że drugi raz kiedyś tam zaszedłem popytać, czy czegoś więcej nie potrzebuje.

- No i co?

- Wtedy nic nie miała do zrobienia. Właśnie przywieźli jej nowe meble. Niczego sobie. Na wysoki połysk. Wtedy widziałem ją ostatni raz.

- Dlaczego tak kręciliście się koło niej? Przecież robota była tam skończona.

54

55

- Ja do każdego mieszkania zachodziłem kilka razy. Co parę dni. Kiedy ludzie dostaną mieszkanie, to najpierw wydaje im się wszystko cacy-cacy. Dopiero później, kiedy

rozstawiają graty, to widzą różne niedoróbki. A to okno się nie rozkręca, a to półek brakuje w szafie ściennej. Nieraz człowiek zagląda cztery razy i gadać z nim nie chcą, a za piątym przez okno wołają, że jest potrzebny.

- Powiedźcie teraz, dlaczego uciekliście po tym drugim zabójstwie?

- Ja uciekłem?

- Od tego czasu nikt was nie widział na ulicy Napoleona Gamaszki. Kilkuset ludzi przez przeszło tydzień nie mogło was znaleźć w całej Warszawie.

- Nie wiedziałem że „Zyzio” taki ważny, żeby aż tylu hint... panów wywiadowców go szukało. Panie majorze, przecież to październik! Wykopki. Moja żona pochodzi spod Ostrowia Mazowieckiego. Pojechalim do brata. Żona pomagała przy ziemniakach i przy burakach. A ja? Na wsi stolarz zawsze robotę znajdzie. Trzy tygodnie tam siedzie-lim. Kiedy wróciłem na Targówek, na drugi dzień poszedłem na Gamaszki. Na zgubę mojej niewinnej duszy. W pierwszej kamienicy ten facet ucapił mnie za kołnierz. Żeby nie pan dzielnicowy, to by mnie chyba żywcem rozerwali. I za co? Za niewinność.

Wyględowski spojrział na majora Sozańskiego. Uważał, że przesłuchiwany zmęczył się swoim opowiadaniem i że dzisiaj nic więcej z niego się nie wycisnie. Dochodzenie i tak posunęło się spory krok naprzód. Wacławowi Karpiowi nareszcie otworzono usta. Kiedy powiedział „a”, powie „b”, a potem wyduka cały alfabet do końca. To tylko kwestia czasu. Psycholog kiwnął głową, że zrozumiał i że jest tego samego zdania.

- Skończymy dzisiaj. Jutro znowu pogadamy. Mam nadzieję, że do jutra przypomnicie sobie resztę.

- Panie majorze, chciałbym obywatelowi Karpiowi zadać kilka pytań.

Wyględowski ze zdziwieniem spojrział na sierżanta Lip-kowskiego, ale uprzejmie odpowiedział:

56

- Proszę, pytajcie.

- Opiszcie mi, Karp, wygląd mieszkania Roszkowskiej.

- No, jak miało wyglądać? Po prostu, jak to mieszkanie.

- Ja wiem, że to nie był chlew. Jakie tam były meble? Chodzi mi wyłącznie o pokój.

Przesłuchiwany zastanawiał się.

- Na podłodze leżał dywan. Mocno już wytarty. Był też stolik. Kwadratowy, rozsuwany.

Trzy krzesła. Pod ścianą stało biurko. Bejcowane na ciemno. Na nim telewizor. Zasłony na

oknach w ciapki. Tapczan dość zużyty, przykryty kocem. Chyba zielonym. Koło tapczanu stolik albo półka. Na tym radio. Na oknie kwiatki. Musiałem je w czasie pracy przenieść na biurko. Coś ze cztery doniczki. Co mogło być jeszcze?... Dwa fotele z jakimiś poduszkami. Święty obrazek nad tapczanem...

- Trzeba przyznać, że jesteście spostrzegawczy, Karp. A jakie radio, przypominacie sobie?

„Zyzio” dumął przez moment.

- Stary grat. W ogóle w tym mieszkaniu poza telewizorem nic nowego nie było. Chyba „Aga”, bo nie prostokątne pudło, lecz z poprzeczną skalą.

- Macie rację - przyznał dzielnicowy - rzeczywiście „Aga”.

- A zasłony jakiego koloru?

- Zielone z popielatym i chyba z żółtym.

- Stolik jasny czy ciemny?

- Stolik jesionowy. Jasny. Krzesła też takie. Nawet radziłem pani Roszkowskiej, żeby przyciemnić pod kolor biurka.

- Jaki telewizor?

- Duży. „Granit”, wiem na pewno, bo sąsiad na Targówku, ten Kalisiak co ma taryfę, kupił taki sam.

- W kuchni byliście?

- Byłem. Biały stolik. Taboret, z którego już farba obla-zi i czwarte krzesło z tego kompletu, poza tym biały kre-densik i półka na ścianie.

- Znakomicie zapamiętaliście, Karp - sierżant wydawał się zadowolony z otrzymanych odpowiedzi. - To wszystko, panie majorze.

57

Dyżurny odprowadził Wacława Karpia do celi. Maszynistka złożyła kartki protokołu i także wyszła. Przesłuchujący zostali sami.

- Akcja rozwija się prawidłowo - stwierdził major So-zański. - Tego rodzaju przestępcy najpierw milczą, później decydują się na ujawnienie części prawdy, w końcu widząc swoje beznadziejne położenie wpadają z jednej skrajności w drugą. Zaczynają się lubować w opisywaniu swoich czynów. Opowiadając najdrobniejsze szczegóły, drugi raz przeżywają podobne emocje jak w chwili mordu.

- Niekoniecznie, panie majorze - ośmielił się zaprotestować Lipkowski - przecież słynny Landru nie przyznał się do niczego nawet na stopniach gilotyny.

- Wyjątek tylko potwierdza regułę - odpowiedział z wyższością Sozański. - Co do Wacława Karpia, jestem najzupełniej pewien, że na następnym przesłuchaniu zacznie śpiewać.

- Ten człowiek nie powie niczego więcej ponad to co zeznał dzisiaj.

- Dlaczego? - majora Sozańskiego zaskoczyła opozycja sierżanta, który liznął w szkole podoficerskiej w Słupsku trochę wiedzy i teraz ma czelność podważać opinie człowieka po pięcioletnich studiach psychologii na Uniwersytecie Warszawskim.

- Nie przyzna się, bo jest niewinny. Już przedtem wątpiłem w jego winę, a po dzisiejszym przesłuchaniu nabrałem pewności.

- Ciekawy jestem jak „kolega” to uzasadni - Sozański na słowie „kolega” położył lekki akcent.

- Najprościej - sierżant puścił mimo uszu ironiczny ton majora. - Przez ujęcie prawdziwego mordercy. Jeszcze nie wiem kim on jest, może się domyślam, ale niedługo sprawdzę moje podejrzenia.

Sierżant nie chciał powiedzieć nic więcej. Major Wyględowski nie nalegał. Bystremu obserwatorowi nietrudno było dostrzec, że stosunki między majorem Sozańskim a dzielnicowym od początku układają się na płaszczyźnie wzajemnej niechęci. Nie miało sensu dolewanie oliwy do ognia. Oficer milicji bardzo cenił Sozańskie-

58

go jako wybitnego znawcę w dziedzinie psychologii, zaś sympatycznego młodego podoficera polubił za jego energię i chęć wybicia się. Dla majora było jasne, że zgłaszając się do współpracy przy wykryciu zbrodniarza Lipkowski kierował się przede wszystkim ambicją i pragnieniem wybicia się ponad sierżantowską przeciętność. Miało to stanowić pierwszy szczebel na drodze kariery, być może uwieńczonej w przyszłości gwiazdkami i paskami na epoletach munduru. Wyględowski szanował i cenił taką ambicję. Wiedział, że kto nie mierzy wysoko, nigdy daleko nie zajdzie. Dlatego od razu zgodził się dać Lipkowskiemu tę szansę.

Przez następne dni Wacława Karpia codziennie przesłuchiwał zarówno major Wyględowski jak i inni oficerowie dochodzeniowi. „Rybka” do winy się nie przyznał, nic nowego nie powiedział. Nawet podpułkownik Migoń z nim rozmawiał. „Zyzio” przysięgał na wszystkie świętości, że jest niewinny.

- Co zrobimy z tym fantem? - zapytał podpułkownik, kiedy „rybkę” odprowadzono do celi.

- Sądzę - odpowiedział major Sozański - że prędzej czy później Karp „pęknie” i powie całą

prawdę. Materiał obciążający go jest tak duży, że możemy sprawę przekazać prokuratorowi. Poszlakówka, niemniej wyrok skazujący nie ulega wątpliwości.

Janusza Migonia nie przekonały te słowa.

- Gdybym był sędzią, obawiałbym się brać na swoje sumienie śmierć tego człowieka. A w takiej sprawie nie może zapaść inny wyrok jak tylko „ks”.

- A co wy sądziecie, majorze Wyględowski?

- Do niedawna sądziłem podobnie, ale przyznam się, że moja pewność została podważona...

Zadzwoił telefon. Podpułkownik podniósł słuchawkę, zamienił kilka słów i podał ją Wyględowskiemu.

- To do was, majorze.

- Słucham?... Co?! Niemożliwe! Natychmiast tam jadę.

59

Wyględowski położył słuchawkę na widelkach i siląc się na spokój powiedział:

- Telefonował sierżant Lipkowski. Na Gamaszki zamordowano trzecią kobietę.

Rozdział VI

### TRZECIA OFIARA ZBRODNIARZA

To mieszkanie znajdowało się w budynku, do którego pierwsi lokatorzy wprowadzili się zaledwie przed pięcioma dniami. Danuta Piechalak cieszyła się nim jedynie trzy dni. Nawet nie zdążyła całkowicie się rozpakować. Meble stały wprawdzie na swoich miejscach, ale pod ścianą leżały dwie walizki i duży wiklinowy kosz. W kuchni, na płycie kuchenki gazowej, stał czajnik i blaszany kubek, jako tymczasowy, prowizoryczny imbryczek do parzenia herbaty. Okna zasłonięte były kocami. Paczka z materiałem na zasłony, kupionym widocznie na parę godzin przed śmiercią właścicielki, leżała na wpół rozpakowana na jednym z krzeseł.

Zbrodnię odkryto stosunkowo szybko. W tej kawalerce kaloryfer słabo grzał, był ledwie letni. Najpewniej wskutek zapowietrzenia. Fachowcy ze SPEC-u mieli zjawić się w godzinach porannych, żeby usunąć defekt. Danuta Piechalak nie mogła na nich czekać.

Toteż w przeddzień umówiła się z gospodarzem domu, że on dopilnuje naprawy.

Odwiedziła go około piątej po południu i zostawiła jeden komplet kluczy.

Kiedy nazajutrz około godziny dziesiątej hydraulicy weszli do mieszkania, drzwi do łazienki zastali otwarte. W wannie leżała nieżywa kobieta. Gospodarz domu zachował się

przytomnie. Natychmiast zamknął z powrotem mieszkanie, żeby nie dopuścić do zbiegowiska i sam co tchu pomknął do dzielnicowego. Ten, jeszcze przed wizją lokalną, zawiadomił majora Wyględowskiego.

Ekipa dochodzeniowa pracowała z całą energią. Fotograf pstrykał swoim aparatem.

Technicy od daktyloskopii skrupulatnie zbierali odciski palców. Inny specjalista rozbierał zamki i przy pomocy dużej lupy pilnie szukał śladów

61

wytrycha lub podrobionego klucza. Major nie brał udziału w tych czynnościach. Z góry był przekonany, że te zabiegi, aczkolwiek konieczne, nie przyniosą najmniejszego rezultatu.

Półgłosem rozmawiał z sierżantem Lipkowskim.

- Czy znaliście tę kobietę? - zapytał.

- Znałem. To urzędniczka z naszej poczty. Przedtem pracowała w urzędzie przy ulicy Ordynackiej. Kiedy powiadomiono ją, że dostanie mieszkanie przy ulicy Gamaszki, poprosiła o przeniesienie tutaj, aby w przyszłości mieć bliżej do roboty. Od paru lat rozwódka. Nie wiedziałem jednak, że przydzielono jej lokal w tym domu, bo nie ma jeszcze listy lokatorów i nie wszyscy już się zameldowali.

- Młoda?

- Czterdzieści trzy lata. Najmłodsza ze wszystkich ofiar.

- Kiedy widzieliśmy się ostatni raz - zauważył major - mówiliście, że Karp nie jest mordercą i że domyślacie się osoby prawdziwego mordercy. A jednak doszło do nowej zbrodni.

- Karp nie jest zabójcą. Siedzi przecież. Mimo to mamy nowe morderstwo, któremu nie mogłem zapobiec. Jestem prawie pewien, że znam zbrodniarza. Ale gdybyśmy go dzisiaj zatrzymali, trzeba byłoby go zwolnić po czterdziestu ośmiu godzinach, gęsto się tłumacząc z pomyłki. Przyznaję, zaskoczył mnie. Nie przewidziałem, że zaryzykuje napad na tak młodą kobietę i to prawie w momencie jej wprowadzenia się na nasze osiedle. Dotychczas morderca potrzebował około dwóch tygodni dla zapoznania się ze swoją przyszłą ofiarą i dla zdobycia jej zaufania. Tym razem prawdopodobnie ten kontakt nawiązał w urzędzie pocztowym albo znał ją wcześniej. W takiej sytuacji nie mogłem interweniować.

- Jeżeli macie konkretne podejrzenia, to należy śledzić kroki tego człowieka. Może w ten sposób go zdemaskujemy?

- To jest niemożliwe na takiej małej przestrzeni jak ulica Napoleona Gamaszki. Tych dwóch wywiadowców, których pan major przysłał po zabójstwie Ireny Kowalczyk, w ciągu

jednego dnia było znanych mieszkańcom osiedla „Za wiatrakami”. Niektórzy ludzie nawet im się

62

kłaniali. Przestępca jest człowiekiem bardzo przebiegłym i spostrzeże, że go śledzimy. Będzie siedział spokojnie i czekał odpowiedniej okazji. Możemy ująć go tylko na gorącym uczynku. Nie mamy żadnego dowodu przeciwko niemu. Mam zresztą niezawodny sposób na niego, i bez śledzenia go będę wiedział, kiedy przygotowuje następny morderczy występ.

- A jednak nie wiedzieliście tego dotychczas. Najlepszym świadectwem jest ten trup w wannie.

- Tak. Do dzisiejszego rana nie wiedziałem. Dopiero kiedy szedłem do swojego rewiru, nie jeszcze nie wiedząc o nowym morderstwie, dokonałem nowego, ważnego odkrycia.

- Widzę, sierzancie, że chcecie zachować swoje wiadomości w tajemnicy. Nie nalegam na ich zdradzenie. Nie chcę odebrać wam sukcesu wykrycia zbrodniarza. Przestrzegam jednak przed wielką odpowiedzialnością, jaką bierzecie na siebie. Jeżeli zdarzy się następne morderstwo...

- Wiem - zachnął się dzielnicowy - pan major chciał powiedzieć, że wtedy ja będę winien śmierci tej czwartej kobiety. Ale następnej zbrodni nie będzie. Ta kobieta także by nie zginęła, gdybym wczoraj wiedział to, czego dzisiaj się dowiedziałem. Niczego nie chcę ukrywać. Tym bardziej przed panem, który kieruje dochodzeniem. Chętnie zdradzę panu majorowi swoją teorię, lecz nie wiem czy pan w nią uwierzy. Chodźmy na balkon, tam nikt nam nie przeszkodzi.

Kiedy obydwaj mężczyźni wrócili do pokoju, major kończył rozmowę:

- To wprost potworne, w głowie nie chce mi się pomieścić. Mylicie się, sierzancie. Wasza hipoteza nie ma żadnych dowodów.

- Uprzedzałem, że pan major mi nie uwierzy. Rzeczywiście, nie mam najmniejszego dowodu. Tylko słabe poszlaki. Ale zdemaskuję mordercę!

- Nie. To niemożliwe, prędzej uwierzę w zapewnienie majora Sozańskiego, że są to zbrodnie psychopaty.

- Szanuję i cenię pana majora Sozańskiego jako wybitnego znawcę psychologii, ale o życiu, a zwłaszcza o jego

63



najgorszych stronach, to ja, jako dzielnicowy, wiem dużo więcej. Zresztą nawet tutaj powinniśmy znaleźć jedną z poszlak potwierdzających moją hipotezę.

- Jaką poszlakę?

- Książeczkę PKO, z której przed kilku dniami podjęto sumę około dziesięciu tysięcy złotych. Uwzględniam w tym już i koszty przeprowadzki oraz drobnych inwestycji.

Milicjanci prowadzący szczegółową rewizję całego mieszkania znalezione w nim dokumenty składali na stole. Tam też leżała i książeczka. Major sięgnął po nią. Na koncie figurowało zaledwie trzysta siedemdziesiąt złotych. Ostatniej wypłaty, pięćset złotych, dokonano przed pół rokiem.

- Nie zgadza się - major pokazał książeczkę dzielnicowemu.

- Musi być druga - sierżant nie zraził się porażką. Zbliżył się do stołu i zaczął przeglądać leżące tam papiery. Drugiej książeczki nie było. Natomiast w torebce zamordowanej Danuty Piechalak podoficer milicji znalazł cztery pięćsetki, sześć setek, trzy dwudziestozłotówki, garść bilonu oraz pismo Związku Zawodowego Pracowników Łączności. Zawiadamiało ono panią Piechalak, że przyznano jej pożyczkę w wysokości dwunastu tysięcy złotych, a to z okazji uzyskania przydziału mieszkania. Pożyczka przeznaczona jest na uzupełnienie wkładu członkowskiego i na zagospodarowanie się w nowym lokalu. List nosił datę sprzed tygodnia.

- Nie włożyła tych pieniędzy na książeczkę. Wiedziała, że tę gotówkę wyda w ciągu paru dni.

- Pewnie zapłaciła wkład.

- Pan major nie zna polityki spółdzielni „Nasza Kotwica”. Przydziela ona mieszkania jedynie tym, którzy od lat mają uregulowane należności. Na kontach członkowskich z reguły są nadpłaty. Kilka razy wpadli, bo wydali klucze przed wpłaceniem całej należności i później musieli się procesować z członkami spółdzielni o resztę pieniędzy. Teraz na zimne dmuchają, jak każdy kto się sparzył gorącym.

Ekipa dochodzeniowa kończyła swoją pracę. Technika popełnienia zbrodni była identyczna z dwiema poprzedni-

mi. Ofiarę uduszono w pokoju i zwłoki przeciągnięto do wanny w łazience. Niczego w mieszkaniu nie ruszono. Przynajmniej tak na to wyglądało. Nie było ani śladu bójki,

rabunku i grzebania w walizkach ani w rzeczach częściowo wypakowanych i okupujących prawie wszystkie meble.

Lekarz stwierdził, że zgon Danuty Piechalak nastąpił poprzedniego dnia wieczorem.

Najprawdopodobniej pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą drugą.

Przesłuchiwani sąsiedzi nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Było to o tyle zrozumiałe, że na ósmym piętrze tego wieżowca mieszkały prócz Danuty Piechalak zaledwie dwie rodziny.

Mieszkanie zmarłej było na wprost windy. Pozostałe, już zasiedlone, na końcu długiego korytarza, oddzielone od klatki schodowej oszklonymi drzwiami.

Karetka zabrała ciało do prosektorium dla dokonania sekcji. Milicja opuściła lokal, który zamknięto i opieczętowano aż do decyzji prokuratora. Major wraz z dzielnicowym udali się do urzędu pocztowego, żeby tam zasięgnąć bliższych wiadomości o Danucie Piechalak, pracownicze tego urzędu.

Na poczcie wiedziano już o zbrodni. Oficer milicji najpierw rozmawiał z naczelnikiem urzędu, później w jego gabinecie przesłuchiwał kolejno resztę zatrudnionych. Ludzie mówili chętnie i dużo. Jak mogli, tak starali się dopomóc milicji. Widać było, że Danuta Piechalak cieszyła się sympatią koleżanek i kolegów. Niestety, rezultat przesłuchania kilkunastu osób równał się prawie zeru.

Major dowiedział się jedynie, że Danuta Piechalak rozwiodła się przed czterema laty. Co było powodem rozwodu, nigdy nie wspominała. Małżeństwo miało dwoje dzieci. Starszą była córka, młodszym - syn. Były mąż Piechalakowej (zachowała ona nazwisko mężowskie) pracował w jakimś instytucie naukowym. Co się rzadko zdarza, dzieci pozostały przy ojcu. Córka w dwa lata po rozwodzie matki wyszła za mąż, syn studiował obecnie na politechnice. Ani dzieci, ani były mąż nie utrzymywali kontaktu z panią Danutą.

64

65

Urzędniczka pocztowa była wątła i słabego zdrowia. Często korzystała ze zwolnień lekarskich. Przed dwoma miesiącami przebywała na kuracji w sanatorium.

- Czy miała znajomych na osiedlu „Za wiatrakami”? Czy koleżanki zauważyły, żeby ktoś odwiedzał ją w czasie pracy?

Jedna z koleżanek wspomniała, że Danuta kiedyś napomknęła, iż w nowym mieszkaniu spodziewa się odwiedzin jakichś dalekich powinowatych, z którymi jednak od lat się nie kontaktowała, w czasie pracy nikt jej nie odwiedzał, chyba że udawał klienta i rozmawiał przez okienko. Po pracy nikt na nią nie czekał.

Sierżant Lipkowski zadawał przesłuchiwanym jedno i to samo pytanie. Wszystkie

odpowiedzi były negatywne, co wyraźnie ucieszyło podoficera milicji. Widocznie potwierdzało jego hipotezę, nieprzyjętą przez majora.

Czy rzeczywiście była niewiarygodna?

Major Wyględowski, im dłużej rozmyślał na ten temat, tym bardziej dochodził do wniosku, że zwykły sierżant wpadł na trop tego, czego inni nie dostrzegli. Wbrew początkowym obiekcjom, oficer prowadzący dochodzenie musiał uznać, że hipoteza, wprost nieprawdopodobna ze względu na swój aspekt moralny, przecież nawet zbrodniarz kieruje się jakąś swoiście pojętą moralnością, ma duże cechy prawdopodobieństwa.

Oczywiście tę dziwną teorię starszego sierżanta jego zwierzchnik przyjmował z wielkimi oporami wewnętrznymi. Jednakże człowiek, któremu powierzono zadanie znalezienia trzykrotnego mordercy nie może się kierować własnym przekonaniem, lecz musi uwzględniać wszystko, co tylko pozwoliłoby mu na osiągnięcie celu zdemaskowania niebezpiecznego przestępcy.

Dlatego też major Wyględowski, nie zaniehbując i innych metod prowadzenia dochodzenia milicyjnego, postanowił zająć się człowiekiem, który według tezy dzielnicowego jest mordercą.

Nie było to proste zadanie. Przecież brak było choćby najmniejszej poszlaki przeciwko temu spokojnemu i w swoim środowisku cenionemu człowiekowi. Zeznania małego złodziejzka, Wacława Karpia, rzucały wprawdzie nowe światło na sprawę tajemniczych zbrodni na ulicy Napoleona Gamaszki, ale przecież w najmniejszym nawet stopniu nie obciążały tego, w którym sierżant Lipkowski widział potrójnego przestępcę. A jednak nie można było wykluczyć tej hipotezy.

Major Wyględowski prowadził swoją akcję bardzo ostrożnie. Doskonale rozumiał, że najmniejsze nawet spłoszenie zbrodniarza będzie klęską dochodzenia. Klęską nie do odrobienia. Przecież dowody zbrodni można zdobyć tylko w jednym wypadku, wtedy, gdy morderca zdecyduje się na nowe przestępstwo. Można go ująć tylko na gorącym uczynku. Jeżeli zaś spłoszony przywaruje, czy też zrezygnuje, trzy popełnione przez niego zabójstwa na długie lata, lub nawet na zawsze trzeba będzie odpisać na konto „przestępstw niewykrytych”, a tego człowieka nigdy nie dosięgnie zasłużona kara.

Doświadczony oficer milicji postanowił nie tylko pomagać sierżantowi Lipkowskiemu i służyć mu całą swoją wiedzą, lecz także niektóre czynności dochodzenia prowadzić niezależnie, a nawet bez wiedzy dzielnicowego. Wprawdzie major doceniał

spozostzegawczość i zdolności młodego funkcjonariusza milicji, obawiał się jednak, żeby ten nie zdradził przedwcześnie jaka to misterna sieć została zastawiona na przestępcę. Ten człowiek, na którego Lipkowski wskazał jako na potrójnego mordercę, był teraz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pod dyskretną obserwacją. Nie taką jak ci dwaj wywiadowcy MO, którym się na ulicy Napoleona Gamaszki po kilku dniach ich pracy kłaniała większość mieszkańców i nazywała ich „naszymi panami tajnymi”. Wprawdzie ci dwaj nadal kręcili się po osiedlu „Za wiatrakami”, ale tylko w charakterze zasłony dymnej. A tymczasem człowiek podejrzewany, że jest mordercą, był śledzony zarówno w pracy jak i w domu przez zupełnie innych ludzi i przy użyciu innych znacznie doskonalszych metod. Prokurator, którego oficer milicji zapoznał z hipotezą starszego sierżanta, po pewnych oporach, pozwolił na

66

67

sprawdzenie konta w PKO podejrzanego, i to była pierwsza konkretna poszlaka. Rzeczywiście, pewne wpłaty odpowiadały datom popełnionych zbrodni. Ale przecież to nie dowód, a zaledwie cień poszlaki. Bardzo dokładny wywiad środowiskowy ujawnił, że człowiek, którego podejrzewano, ma pewien cel, do którego, jak sam nieraz powiadał, „dąży za wszelką cenę”. Ale czy tą ceną musiała być śmierć starszych, samotnych kobiet, które otrzymywały przydział mieszkania spółdzielczego na osiedlu „Za wiatrakami” przy ulicy Napoleona Gamaszki? Na to pytanie nikt, nawet znawca psychologii major So-zański, nie umiał odpowiedzieć. Dwóch wywiadowców MO posłano jako woźnych do najbliższej szkoły podstawowej. Zadaniem tych ludzi było tylko sprawdzanie, czy w świetlicy szkolnej niczego nie brakuje. Ludzie ci natychmiast wykryli, że tym samym aparatem interesuje się ogromnie pewien młody nauczyciel. Naturalnie wywiadowcy natychmiast zawiadomili majora o swoim spostrzeżeniu. Oficer milicji tylko się uśmiechnął. Rozumiał dobrze, starszy sierżant Lipkowski także nie chciał się całkowicie spuścić na aparat milicyjny kierowany przez Wyględowskiego, ale także i sam zarzucał swoją własną sieć. Major nie potępiał podoficera za ten brak zaufania do swojego zwierzchnika. Rozumiał dobrze, że dla niego, wyższego oficera milicji, sukces dochodzenia i ujęcie mordercy to tylko jedno z wielu osiągnięć w bogatej praktyce pracy w milicji. A dla młodego dzielnicowego, jakim był Lipkowski, taki tryumf jak ujęcie potrójnego mordercy może być tym zwrotnym krokiem, który zmienia

całą karierę i całe życie.

Toteż kiedy pewnego dnia Wyględowski otrzymał nagły meldunek ze szkoły, który zdawał się wskazywać, że przestępca planuje nową zbrodnię, major zmobilizował całą swoją sieć wywiadowców i poczynił wszystkie kroki, żeby nie dopuścić do czwartego morderstwa.

Kiedy jednak dzielnicowy Lipkowski zgłosił się z identycznym raportem co wywiadowcy ze szkoły, oficer milicji zdecydował, że

starszy sierżant będzie w tej sprawie działał sam, a rola jego zwierzchnika i całego aparatu milicyjnego ograniczy się tylko do asekuracji kroków dzielnicowego. Zdaniem majora ten człowiek swoją intuicją i swoją pracą zasługiwał na danie mu takiej szansy.

68

69

## ROZDZIAŁ VII JAK W OBLĘŻONYM MIEŚCIE

Wiadomość o trzeciej zbrodni rozeszła się lotem błyskawicy po całym osiedlu „Za wiatrakami”. Potrójne morderstwo dokonane przy jednej ulicy, prawie że w sąsiednich domach i to w ciągu niecałych dwóch miesięcy: września i października, wywołało prawdziwą panikę wśród małego społeczeństwa mieszkańców tej kolonii.

Drzwi zamykano teraz na wszelkiego rodzaju zamki, zasuwę i łańcuchy. Nieliczni, bardziej bojaźliwi, na noc dodatkowo barykadowali je krzesłami i stołami. Niektóre samotne kobiety, a nawet i mężczyźni, uznali, że najlepiej będzie opuścić na jakiś czas niebezpieczną ulicę Napoleona Gamaszki i przenieść się do krewnych w Śródmieściu.

Doszło do tego, że listonoszowi roznoszącemu renty i listy polecane nie chciano otwierać drzwi. Podobne przyjęcie spotkało i dzielnicowego, którego trudno było posądzić, że jest bandytą. Ludziska bali się i nie ufali nikomu.

Miano powszechnie za złe milicji, że nie zarządziła ona jakichś nadzwyczajnych środków dla zwiększenia bezpieczeństwa, a zwłaszcza, że nie postawiono na Gamaszki stałego posterunku MO. Wprawdzie nadal radiowozy często zjawiały się w osiedlu „Za wiatrakami”, ale mieszkańcy tych stron uważali to za niewystarczającą troskliwość. Na próżno sierżant Lipkowski przypominał, że ani jednej zbrodni nie popełniono na ulicy i że w tej sytuacji jedyną ochroną byłoby wystawienie posterunku... przed każdym mieszkaniem. Ludzie mu nie wierzyli i uważali, że milicja za mało dba o ich życie.

Eufemii Kwiatkowskiej przydała się teraz przyjaźń z inżynierostwem Znamierowskimi.

Nauczycielka nie należała wprawdzie do specjalnie bojaźliwych, ale na nale-

ganie Oli Znamierowskiej nie tylko udzielała lekcji małej Krysi, lecz większość dnia spędzała w wieżowcu gdzie mieszkali przyjaciele.

Każdego wieczoru zawsze któryś z mężczyzn, najczęściej ten obowiązek przypadał Henrykowi Malinowskiemu, odprowadzał panią Eufemię do jej mieszkania pilnując, aby rencistka zamknęła drzwi na wszystkie zamki.

Ponieważ z okien pokoju zajmowanego w mieszkaniu Znamierowskich przez ich sublokatorów widać było balkon pani Kwiatkowskiej, Henryk Malinowski, jako elektrotechnik, skonstruował proste lecz pomysłowe urządzenie alarmowe. Na balkonie nauczycielki umocował silną czerwoną żarówkę z reflektorkiem rzucającym smugę światła wprost na swoje okno. Gdyby ktoś wieczorem usiłował wejść do pani Eufemii, miała ona nacisnąć kontakt. Zaalarmowani mieszkańcy z sąsiedniego wieżowca natychmiast pospieszyliby z pomocą.

Pracownik ZURT-u zaproponował administracji bloków i dzielnicowemu, że chętnie założy tego rodzaju urządzenia alarmowe w mieszkaniach ludzi samotnych.

Jednakże sierżant Andrzej Lipkowski uznał to za zupełnie zbyteczne, bo - jak się wyraził - „milicja czuwa”. Tym niemniej wiele osób skorzystało z pomysłu racjonalizatorskiego młodego elektrotechnika i na własny koszt instalowało to urządzenie. Henryk Malinowski nie mógł narzekać. Miał teraz pełne ręce roboty.

A kiedy już poznawał się z mieszkańcami osiedla, to prócz tych sygnałów alarmowych trafiały mu się zazwyczaj i inne robótki - naprawy radia, wyregulowanie niesfornego telewizora lub doprowadzenie do porządku lodówki, która zamiast mrozić, grzała nie gorzej od centralnego ogrzewania.

Inżynier Witold Znamierowski był wrogiem telewizji. Ten aparat uważał za „złodzieja czasu”. Twierdził, że telewizor w domu nieuchronnie doprowadzi do tego, iż dzieci zamiast odrabiać lekcje będą się gapiły w szklany ekran. Nie dawał się przekonać żadnymi argumentami. Tylko wyjątkowo pozwalał synom oglądać u Malinow-

70

71

skich jakąś audycję dla młodzieży lub transmisję sportową. Pan Henryk, niejako z urzędu, musiał mieć telewizor, choćby dla porównania odbioru przy naprawie innego aparatu.

Pani Eufemia nie była przeciwnikiem szklanego ekranu. Mieszkając przy Górnosląskiej prowadziła jednak tak ruchliwe życie, że nie odczuwała potrzeby posiadania własnego

telewizora. Były one przecież prawie we wszystkich mieszkaniach, w których nauczycielka muzyki udzielała lekcji. Szkoła oddalona od dawnego mieszkania Kwiatkowskiej o pięć minut drogi również rozporządzała dwoma aparatami wysokiej klasy.

Teraz życie rencistki zupełnie się zmieniło. Samotne wieczory wlokły się długo, a Kwiatkowska nie chciała nadużywać gościnności Malinowskich, zresztą zawsze serdecznie zapraszających ją do swojego pokoju.

- Zafunduję sobie chyba jakiś telewizor - powiedziała kiedyś pani Eufemia siedząc przy stole ze Znamierowskimi i młodym małżeństwem. - Nie mogę przecież całe życie korzystać z waszej uprzejmości i dobroci.

- Cóż znowu - oburzył się inżynier - pani nie tylko jest naszym najmiłszym gościem, ale uważamy ją za kogoś tak bliskiego jak członka rodziny.

- To, co dzieje się w naszym osiedlu, musi się szybko skończyć - dorzucił Malinowski. - Milicja niewątpliwie ujmie zbrodniarza i przestaniemy być mieszkańcami obłęzonego miasta.

- Już jednego ujęła - zażartowała pani Ola - i to nie milicja, lecz pewna dzielna para prywatnych detektywów. I co z tego wyszło?

- Sami namówiliście mnie na to - broniła się pani Eufemia. - Ciekawa jestem, co się z tym biedakiem dzieje?

- Na pewno milicja nie pokazała się więcej.

- Nie można go za to potępiać. Tłum o mało co wówczas go nie rozszarpał.

- Wracając do telewizorów - Henryk Malinowski nawiązał do oświadczenia pani Eufemii - ich jakość bardzo się ostatnio poprawiła. W sklepach jest duży wybór najrozszybszych aparatów. Co do mnie, uważam za najlepsze „Szecherezadę” i „Granit”.

Zwłaszcza ten ostatni.

- A ile kosztuje?

- Trzyście tysięcy złotych - wyjaśnił Malinowski. Nauczycielka westchnęła.

- To za drogo jak na kieszeń rencistki. Będę musiała poszukać czegoś tańszego.

- Chyba można wziąć na raty - podsunął Znamierowski - chętnie kochanej pani podziuruję weksel.

- Dziękuję bardzo, ale raty też trzeba płacić. Nie podołam.

Rozmowa potoczyła się dalej innym torem. Do problemów telewizji nie powrócono.

Dopiero późnym wieczorem, kiedy Henryk Malinowski odprowadzał panią Eufemię do jej

mieszkania, zaproponował:

- Może mógłbym pani coś dopomóc z tym telewizorem?

- Dziękuję. Przecież już pan Witold chciał dać mi żyro. Ale to nie rozwiązuje sprawy.

- Nie myślałem o żyrowaniu weksla. Po prostu jest okazja kupna „Granita” po wyjątkowo korzystnej cenie.

- Jakiś wybrakowany aparat? Słyszałam, że są tego rodzaju sprzedaże, ale to loteria. Można wpaść.

- Nie. Nie myślałem o czymś takim. Po prostu zgłosił się wczoraj do ZURT-u pewien klient. Był trzy lata za granicą na placówce i przywiózł stamtąd pięknego „Philipsa”. Aparat zautomatyzowany, ekran dwadzieścia siedem cali. Cacko a nie telewizor. Chodziło o drobiazg, o doregulowanie aparatu do naszych kanałów. Ten klient zwierzył mi się, że ma prawie nieużywany polski telewizor, właśnie „Granit” i chciałby się go pozbyć. Nie mówiłem o tym przy Znamierowskich, bo chociaż bardzo ich lubię i szanuję, są ludźmi gadatliwymi. A mnie nie wolno handlować używanymi telewizorami. ZURT przez palce patrzy na drobne, prywatne partaninki swoich pracowników, ale za taki handel tak bym dostał po uszach, że długo bym się nie mógł pozbierać. Dlatego również proszę, bez względu na to, czy pani skorzysta z tej okazji czy nie, o najgłębszą tajemnicę.

- Ile on chce za ten „Granit”?

- Siedem tysięcy. Ale gotówką. Nie ukrywam, że w tym jest już moja prowizja, dziesięć procent.

- Na tyle mogłabym się zdobyć. Boję się jednak kupować używane rzeczy, bez gwarancji.

- Zapewniam panią, że to żadne ryzyko. Aparat jest jak nowy. Oficjalnej gwarancji nie ma, ale gotów jestem zobowiązać się, że jeżeli się zepsuje, przez dwa lata będę go bezpłatnie reperował. Pani Femo, proszę nie myśleć, że chodzi mi o ten niewielki zarobek siedmiuset złotych! Ten telewizor mogę sprzedać na Gamaszki w ciągu godziny, nigdzie dalej go nie nosząc. Ale wolę, żeby z takiej wyjątkowej okazji skorzystał ktoś tak miły jak pani.

- Tak pan zachwala, że chyba się zdecyduje.

- O nie, pani Femo. Kota w worku nikt nie kupuje. Przywiozę aparat do pani, wypróbujemy go i dopiero wtedy pani poweźmie ostateczne postanowienie. Naturalnie trzeba się zdecydować szybko, bo mojemu klientowi śpieszy się. Facet doskonale zdaje sobie sprawę, że taką transakcję mógłby sam załatwić, choćby u siebie w ministerstwie, ale to dość wysoka szyszka i nie wypada mu handlować telewizorami. Tylko dlatego prosił mnie o



załatwienie tej sprawy.

- Oczywiście, że nie będę zwlekała. Ja w ogóle mam zasadę, że jak się na coś decyduję, to od razu, bez długiego namysłu. W sklepie nie przebieram. Wiem czego chcę, wchodzę i w minutę załatwiam taki sprawunek - na który inne baby tracą nieraz trzy dni, biegając od magazynu do magazynu i przerzucając sterty towarów.

- A więc dobrze. Jutro, wracając z pracy, przywiozę telewizor.

- Przygotuję pieniądze i jeżeli się zdecyduję, jeszcze tego samego dnia zapłacę.

- Tak byłoby najlepiej. Co do pani decyzji, jestem spokojny. To wyjątkowa okazja: za siedem tysięcy aparat, który w sklepie kosztuje ponad trzynaście tysięcy. Prawie za pół ceny. A że to jest dobry telewizor, mogę dać głowę.

- Szkoda byłoby takiej głowy - roześmiała się pani Eufemia. - Kto by mnie odprowadzał wieczorem do domu?

74

- Tylko jeszcze raz zaklinam panią, ani mru-mru nikomu. Niech pani nie pochwali się przypadkiem jakiej sąsiadce lub znajomej. A już tym bardziej proszę o tajemnicę przed Znamierowskimi. Ludziska zaczną gadać i mógłbym mieć wiele nieprzyjemności z powodu pośredniczenia w handlu używanymi telewizorami.

Pani Eufemia zapewniła miłego i uczynnego sąsiada, że potrafi dochować sekretu.

75

## ROZDZIAŁ VIII „NIECH PAN ZDEJMIE RĘKAWICZKI”

W dwa dni później, przed czwartą po południu, w mieszkaniu pani Eufemii Kwiatkowskiej rozległ się dzwonek. Nauczycielka podeszła do wizjera, usiłując dostrzec co za niespodziewany gość przybywa w odwiedziny. Ujrzała mundur milicjanta i usłyszała znajomy głos:

- To ja, dzielnicowy Lipkowski. Mam do pani ważną sprawę. Proszę otworzyć. ,

Sierżant wszedł do środka, zdjął płaszcz i czapkę, powiesił je na wieszaku i zaproszony przez właścicielkę mieszkania zajął w pokoju miejsce na jednym z wygodnych foteli.

- O! Telewizor - zauważył duży aparat stojący w rogu -to „Granit”, świetny aparat.

Spotkałem pana Malinowskiego jak wczoraj niósł go na górę. Nie wiedziałem, że to do pani. Dobrze działa? Używany, ale wygląda jak nowy. Elektrotechnik obiecał, że przy okazji postara się i dla mnie o coś podobnego.

- Jeszcze nie najlepiej gra. Nie ma anteny. Wczoraj pan Henryk przyniósł swoją, pokojową,

jakiej używa do wypróbowania naprawianych aparatów. Dzisiaj ma przyjść i założyć normalną antenę.

- Dużo pani zapłaciła? Pewnie z osiem tysięcy.

- Nie. Siedem. Dlatego tak tanio, że jego uprzedni właściciel wrócił właśnie po trzyletnim pobycie z zagranicy i przywiózł sobie inny aparat, znacznie większy - pani Eufemia nie widziała już żadnego powodu, aby nadal robić tajemnicę z tej historii, która, jak to wyraźnie wynikało z rozmowy, jest milicjantowi doskonale znana.

- To rzeczywiście wyjątkowa okazja. O której pan Malinowski ma zakładać tę antenę? Wolałbym go tutaj nie

spotkać, bo na pewno byłby rozżalony, iż wydała go pani z sekretu. Sądzę, że zastrzegł sobie tajemnicę tej transakcji. Po co mam panią wsypywać.

- To aż śmieszne. Kilkakrotnie podkreślał jaki to wielki sekret! A wstąpi do mnie po pracy. No, co tam ze sprawą?

- W zasadzie wyjaśniona. Mam nadzieję, że najdalej za godzinę zbrodniarz będzie ujęty.

- To byłoby prawdziwe szczęście. Ludzie by nareszcie odetchnęli. Żyjemy tutaj jak w fortecy, żeby tylko nie było tak, jak z tym biednym stolarzem.

- Tym razem nie ma mowy o pomyłce - zapewnił Lipkowski.

- Pan dzielnicowy jest bardzo pewny siebie... Ale czemu mam zawdzięczać dzisiejszą pańską wizytę?

- Chwileczkę - sierżant podniósł się z fotela i podszedł do drzwi, prowadzących na klatkę schodową. Otworzył je i zakomenderował:

- Właźcie, chłopaki. Do łazienki i siedzieć cicho, jak myszy pod miotłą. I weźcie ze sobą mój płaszcz i czapkę...

Do mieszkania pani Kwiatkowskiej weszło dwóch ludzi. Jeden w ubraniu cywilnym, drugi w mundurze milicjanta. Bez słowa zniknęli w łazience.

- Nie rozumiem - pani Eufemia była zaskoczona nieproszonymi gośćmi - co oni tu robią?!

- Lepiej, że oni posiedzą na wannie - powiedział sierżant Lipkowski wracając na swój fotel - niż miałyby pani leżeć w niej w charakterze „martwego trupa”.

- Wypraszam sobie takie żarty!

- To nie żarty, tylko najszczęsza prawda.

- Nie rozumiem. Doprawdy nie wiem o co chodzi.

- Dobrze. Opowiem więc pani całą historię - dzielnicowy poprawił się w fotelu, spojrzał na

zegarek i mruknął -dopiero za dziesięć czwarta. Mamy nieco czasu i zdążę wszystko dokładnie przedstawić i zaspokoić pani ciekawość - uśmiechnął się z odrobiną ironii.

- Słucham!

- Pewne młode małżeństwo od dawna marzyło o posiadaniu samochodu, takiego luksusowego wozu marki tau-

76

77

nus. Takie marzenie to nic złego. Dla wielu młodych ludzi posiadanie własnego wozu wydaje się szczytem szczęścia. Wcale im to nie przeszkadza, że w ostatecznym rezultacie dorabiają się zamiast taunusa naszej pocziwej syrenki. Ale w tym wypadku stało się inaczej. Ten młody człowiek postanowił zrealizować swoje marzenia za wszelką cenę. Nawet za cenę zbrodni.

Pani Kwiatkowska słuchała ze wzrastającym zainteresowaniem.

- Tak się złożyło, że ten przedsiębiorczy mężczyzna, na razie możemy nie wymieniać jego nazwiska, był konserwatorem urządzeń elektrycznych w pobliskiej szkole. Między innymi pod jego opieką pozostawały dwa telewizory. Jeden z nich, to niedawno kupiony „Granit”. Od czasu do czasu telewizor psuł się i wówczas konserwator zabierał go do domu. Reszta okazała się nieskomplikowana w pomyśle. Sprzedawało się go jakiejś starszej, samotnej kobiecie, jako wyjątkową okazję. Nie jestem pewien, ale przypuszczam, że bajeczka o dyplomacie, który przywiózł z zachodu zagraniczne cudo, była opowiadana wszystkim klientkom. Nawiasem wyjaśnię, że „Granit” jest w sprzedaży dopiero od kilku miesięcy, więc ktoś wracający z zagranicy po dłuższym tam pobycie, nie mógł mieć takiego telewizora w domu przed wyjazdem.

Pani Eufemia zbladła. Dzielnicowy wyraźnie się ucieszył:

- Widzę, że pani pojmuje sens mojego opowiadania. Dodam jedynie, że telewizor wstawiało się niepostrzeżenie do klientki, zobowiązując ją do zachowania ścisłego sekretu, a na drugi dzień sprzedawca zjawiał się, aby założyć antenę. Po paru dniach, tak się dziwnie składało, amatorkę kupna taniego, okazynego telewizora znajdowano uduszoną w wannie jej własnej łazienki. Telewizor naturalnie zniknął, aby po pewnym czasie znowu odegrać swoją rolę. Nauczycielka sięgnęła do gardła, jak gdyby bluzka, którą miała na sobie, raptem stała się bardzo ciasna pod szyją i zaczęła ją dusić.

- To okropne co pan mówi. To niemożliwe...

- To tylko prosty rachunek ekonomiczny.

78

- To nieprawda! Pan obraża mnie i moich przyjaciół pani Eufemii trudno było uwierzyć w opowiadanie milicjanta.

- Chce pani dowodów? Proszę bardzo! Podejrzywałem go od tej chwili, kiedy pani powtórzyła mi słowa Malinowskiego, który oświadczył, iż zaprzysiągł on mordercy zemstę po obejrzeniu leżącej w łazience Stanisławy Roszkowskiej. To nieprawda. Nikt poza milicją, gospodarzem domu i siostrzenicą zamordowanej, panią Warowniak, nie widział trupa. Potem wpłynęła sprawa tego feralnego Wacka Karpia. Nikt inny, lecz właśnie szanowny pan Henryk tak zręcznie napuścił nas na niego, że chwilowo zapomniałem o swoich podejrzeniach. Ale ta sprawa nie była tak bezpożyteczna dla milicji, jak to się Malinowskiemu zdawało. Dzięki niej dowiedzieliśmy się, że na kilka godzin przed śmiercią Roszkowskiej w jej mieszkaniu znajdował się telewizor marki „Granit”. Złodziejaszek z Targówka okazał się doskonałym obserwatorem. A przecież kiedy milicja otworzyła mieszkanie zmarłej, telewizora tam już nie było. W ten sposób obalony został mit o mordzie seksualnym, który przestępca konsekwentnie chciał w nas wmówić, zawsze wlokąc zwłoki do łazienki, układając je w wannie, jednocześnie rzekomo nic z domu nie zabierając. Rzeczywiście, nic nie brał prócz telewizora, aby natychmiast odnieść go do szkoły, jako świeżo zreperowany.

Pani Kwiatkowska sięgnęła do torebki, wyjęła z niej małą flakonik i łyknęła aż dwie żółte pastylki „Paxilu”.

- Za zgodą prokuratora zajrzeliśmy do rachunków PKO. Na koncie Malinowskiego, najdalej w trzy dni po każdej zbrodni, pojawiała się nowa wpłata. Zawsze siedem tysięcy. Jeśli tych dowodów pani mało, to dodam jeszcze dwa. Pierwszy z nich to fakt, że elektrotechnik ma zjawić się u pani dla założenia anteny. Te wieżowce mają na swoich dachach zbiorczą antenę telewizyjną, a każdy lokator ma w swoim mieszkaniu gniazdko, w które wystarczy wsadzić odpowiednią wtyczkę, w jaką zaopatruje się każdy telewizor. Oto ten kontakt, tam na dole w rogu pokoju... Zakładanie anteny jest zręcznym pretekstem, aby

79

wejść do mieszkania i jego właścicielkę umieścić w wannie, zabierając na odchodnym telewizor...

- Niech pan już skończy! Nie mogę tego słuchać.

- Następnym dowódem pani sama zobaczy. Malinowski nosi rękawiczki?
  - Nie. Nigdy.
  - Dzisiaj, kiedy pani otworzy mu drzwi, Malinowski będzie miał na rękach rękawiczki. On nie może ryzykować pozostawienia śladów swojej bytności. Odciski palców, choćby na klamce zewnętrznej drzwi wejściowych, byłyby tam niezaprzeczalnym dowodem jego zbrodni.
  - Pan Malinowski był u mnie wczoraj - nauczycielka wbrew przytaczanym dowodom nie mogła jeszcze uwierzyć w okropną prawdę. - Przyniósł mi telewizor, oglądaliśmy program. Zapłaciłam mu siedem tysięcy, przecież mógł mnie od razu wczoraj udusić i zabrać pieniądze.
  - Bał się.
  - Czego? Przecież nikt nie widział kiedy tu wchodził.
  - Bał się mnie. Ja niby przypadkowo spotkałem go na dole, przed wejściem do windy. Razem jechaliśmy na górę. Malinowski przezornie wysiadł na siódmym piętrze, a ja rzekomo pojechałem na dziesiąte, ale to już wystarczało, żeby odłożyć na później zbrodniczy zamiar. Wprawdzie ten człowiek nie domyślał się, że mam go na oku, niemniej w tej sytuacji nie mógł działać. Jego wizyta u pani byłaby śladem. Dlatego też musiał odwrócić od siebie ewentualne podejrzenia. Po jego wyjściu stąd pani ciągle żyła... Poza tym, stwierdziłem to z wielką ulgą, wczoraj nie miał rękawiczek.
  - Lekko to panu mówić!
  - Niech mi pani wierzy, że wczoraj, z uchem przy drzwiach, sam umierałem z niepokoju o jej życie. Byłem zdecydowany przy najmniejszym hałasie siłą wyważyć drzwi. Ledwie zdołałem odskoczyć i schować się za zsympł smięci, kiedy pani wyprowadzała swojego gościa na klatkę schodową. Jeden z wywiadowców spędził na tych schodach całą noc, czuwając nad pani bezpieczeństwem.
  - Dziękuję panu... A jednak tej trzeciej, pani Piechalak, nie upilnowaliście.
  - Przyznaję, całej prawdy dowiedziałem się dopiero w dniu śmierci tej kobiety. Właśnie wtedy, kiedy hydraulicy odkryli zbrodnię. Byłem rano w jakiejś sprawie w szkole podstawowej i natknąłem się na Malinowskiego odnoszącego do świetlicy telewizor marki „Granit”. Od razu domyśliłem się wszystkiego, lecz nie miałem jeszcze żadnych dowodów, aby zbrodniarzowi udowodnić jego czyny.
- W tej chwili zza ściany rozległo się energiczne pukanie. Pani Eufemia wzdrygnęła się i

spojrzała w tę stronę. Sierżant pospieszył z wyjaśnieniem:

- Umówiłem się z nauczycielem, pod którego opieką jest telewizor, że natychmiast mnie zawiadomi, kiedy aparat się zepsuje i konserwator zabierze go do naprawy. To miał być alarm - że nowa zbrodnia jest przygotowywana i właśnie zaczyna się jej realizacja. Wczoraj nauczyciel dał znać, że aparat wzięto do naprawy. Jeszcze nie wiedziałem dokąd telewizor powędruje. Uważałem na Malinowskiego. Kiedy zobaczyłem, że kieruje się w stronę waszego domu, wszedłem za nim i rzekomo przypadkowo spotkaliśmy się przy windzie. Niczego więcej nie potrzebowałem. Byłem pewny, że aparat znajdzie się w pani mieszkaniu. Nie omyliłem się. Trzeba było tylko czekać i zapewnić pani bezpieczeństwo. Za chwilę rozegra się ostatni akt dramatu. Bo to pukanie w ścianę jest sygnałem jednego z kolegów, którego na wszelki wypadek umieściłem w mieszkaniu pani sąsiadów, że Malinowski idzie ulicą w stronę tego wieżowca. Zaraz tu będzie.

- Ja się boję - nauczycielka zbladła jak papier.

- Odwagi! Troszeczkę odwagi. Przecież my trzej będziemy w łazience. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Nigdy bym nie ryzykował.

- Co mam robić?

- Nic nadzwyczajnego. Po prostu otworzy mu pani drzwi. Od razu pani zauważy, czy nosi on rękawiczki. Jeżeli tak, zaprosi go pani do środka i zaproponuje, aby zdjął płaszcz i rękawiczki. Zaś sama cofnie się w głąb pokoju. Naturalnym ruchem, ale trzymając się na dystans od swojego gościa. Reszta należy do nas.

80

81

- Boję się - powtórzyła pani Eufemia.

-I to mówi były powstaniec warszawski, który przedzierał się kanałami ze Starówki do Śródmieścia, pomagając rannym? Odwagi! Tam było znacznie gorzej.

Rozległ się głuchy odgłos windy w ruchu.

- To on - sierżant odruchowo zniżył głos do szeptu -uciekam do łazienki. Odwagi!

Za chwilę rozległ się dzwonek. Milicjanci zamknięci w łazience posłyszeli, jak

Kwiatkowska otwiera drzwi i wita gościa:

- Dzień dobry, panie Henryku. Właśnie oczekiwałam pana. Proszę wejść do środka, zdjąć rękawiczki i powiesić płaszcz.

- Ja tylko na chwileczkę - głos Malinowskiego był nieco przytłumiony.

Milicjanci usłyszeli zamykanie drzwi wejściowych na zasuwę.

Sierżant Lipkowski bezszelestnie otworzył łazienkę i stanął na progu pokoju. Widział jak Malinowski w płaszczu i w rękawiczkach naciera na cofającą się nauczycielkę. Wtedy sierżant powiedział cichym, ale dobitnym tonem do elektryka, który odwrócony tyłem do przedpokoju, jeszcze go nie zauważył:

- Niech pan zdejmie rękawiczki, panie Malinowski.

## SPIS TREŚCI

Rozdział I. List polecony

Rozdział II. Narada sztabowa

Rozdział III. Lekcja muzyki

Rozdział IV. Starsza pani demaskuje mordercę

Rozdział V. Zeznania „Zyzia”

Rozdział VI. Trzecia ofiara zbrodniarza

Rozdział VII. Jak w obłączonym mieście

Rozdział VIII. „Niech pan zdejmie rękawiczki”

5 13 26 37 47 61 70 76

## KONIEC

Nota redakcyjna

Powieść Jerzego Edigeya „Niech pan zdejmie rękawiczki” jest trzynastą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą. Po raz pierwszy powieść ta była drukowana w „Dzienniku Zachodnim” w 1971 r.

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd. Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - „Tęczowy cocktail”
2. Helena Sekuła - „Kieliszek Bordeaux”
3. Helena Sekuła - „Wstęga Kaina”
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Czwarty klucz”
5. Piotr Kitrasiewicz - „Sherlock Holmes i koledzy”
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Nieudany urlop majora Downara”
7. Anna Kłodzińska - „Królowa Nocy” \*
8. Anna Kłodzińska - „Jak śmierć jest cicha”
9. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Za dużo kobiet”

10. Jerzy Edigey - „Uparty milicjant”

11. Jerzy Edigey - „Czek dla białego gangu”

12. Helena Sekuła - „Złoty blues”

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona. Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd [www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

oraz na Forum Mordu

[www.klubmord.fora.pl](http://www.klubmord.fora.pl)

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezesik13@wp.pl) prezes Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

Wykaz książek Jerzego Edigeya

1. Czek dla białego gangu (1963) Klub Srebrnego Klucza
2. Mister MacAreck i jego business (1964) Jamnik
3. Trzy płaskie klucze (1965) Jamnik
4. Sprawa Niteckiego (1966) Jamnik
5. Wagon pocztowy GM 38552 (1966) Klub Srebrnego Klucza
6. Baba-Jaga gubi trop (1967) Jamnik
7. Umrzesz jak mężczyzna (1967) Klub Srebrnego Klucza
8. Elżbieta odchodzi (1968) Tukan
9. Przy podniesionej kurtynie (1968) Jamnik
10. Szkielet bez palców (1968) Ewa wzywa 07...
11. Pensjonat na Strandvagen (1969) Tukan
12. Człowiek z bliźną (1970) Klub Srebrnego Klucza
13. Strzały na rozstajnych drogach (1970) Jamnik
14. Zbrodnia w południe (1970) Klub Srebrnego Klucza
15. Żółta koperta (1970) Tukan
16. Błękitny szafir (1971) Jamnik
17. Jedna noc w Carl tonie (1971) Tukan
18. Minerva-Palace-Hotel (1972) Tukan
19. Testament samobójcy (1972)



20. Gang i dziewczyna (1973) Ewa wzywa 07...
21. Śmierć czeka przed oknem (1973) Klub Srebrnego Klucza
22. Śmierć jubilera (1973) Jamnik
23. Diabeł przychodzi nocą (1974) Ewa wzywa 07...
24. Szklanka czystej wody (1974) Jamnik
25. Najgorszy jest poniedziałek (1975) Klub Srebrnego Klucza
26. Strzał na dansingu (1975) Czerwona Okładka
27. Walizka z milionami (1975) Jamnik
28. Dwie twarze Krystyny (1976) Jamnik
29. Dzieje jednego pistoletu (1976) Czerwona okładka
30. Tajemnica starego kościółka (1976) Ewa wzywa 07...
31. As trefl (1978) Ewa wzywa 07...
32. Nagła śmierć kibica (1978) Jamnik
33. Sprawa dla jednego (1978) Czerwona Okładka
34. Alfabetyczny morderca (1981) Klub Srebrnego Klucza
35. Pomysł za siedem milionów (1982) Jamnik
36. Siedem papierosów „Maracho” (1982) Ewa wzywa 07...
37. Zdjęcie z profilu (1984) Tukan
38. Operacja „Wolfram” (1985) Tukan
39. Wycieczka ze Sztokholmu (1987) Tukan
40. Uparty milicjant (2010) Seria z Warszawą
41. Czek dla białego gangu (2010) Seria z Warszawą
42. Niech pan zdejmie rękawiczki (2010) Seria z Warszawą

Książki wydawnictwa „Wielki Sen”

do nabycia na stronie internetowej

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

Pierwsza seta

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90. Staramy się zainteresować Czytelników gatunkiem. Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są tu teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy. Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społeczno-obyczajowe, zagląдают

do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

„Serią po kryminałach”

czyli Katalog konesera kryminałów z PRL

10

PO KRYMINAŁAO

KATALOG KONESERA NOMINAŁÓW Z PRL

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach: Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą Helena Sekuła

„Tęczowy cocktail”

„Tęczowy coctail” ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza. Już w tej debiutanckiej powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowąt-kowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

Helena Sekuła

Kieliszek Bordeaux”

„Kieliszek Bordeaux” może z powodzeniem uchodzić z „Tęczowym cocktailem” za dylogię. Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - Jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji”. Tym razem major Korosz musi odkryć, któż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Ordona - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

„Wstęga Kaina”

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawą. Napisana z epickim

rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnąca wielkim światem powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza. Niestety, nie miała szczęścia. Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała istnieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazety.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Czwarty klucz”

Piotr Kitrasiewicz

„Sherlock Holmes i koledzy”

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Czwarty klucz” nie miała dotąd wydania książkowego. Była publikowana w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1981. Miłośnicy twórczości tego autora na pewno nie będą zawiedzeni. Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu. Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje. Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty „Czwartego klucza”.

Książka Piotra Kitrasiewicza „Sherlock Holmes i koledzy” jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda. Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędy czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowi i innym tuzom rodzimych organów ścigania.

Anna Kłodzińska

„Królowa nocy”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Królowa nocy” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971. Dyrektor Derbach miał stosowne stanowisko, odpowiednią do niego żonę oraz perspektywę na awans. Do pełni życiowego szczęścia brakowało mu tylko skoku w bok. Gdy nadarzyła się ku temu okazja, poszedł w nią jak w dym. Miał jednak pecha. Rychło po zaznaniu cielesnych uciech dyrektor Derbach dostał propozycję nie do odrzucenia. W zamian uzyskał obietnicę nierozpowszechniania pięknych zdjęć wiadomego rodzaju...

Anna Kłodzińska

„Jak śmierć jest cicha”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Jak śmierć jest cicha” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” w roku 1962.

Po Warszawie grasuje tajemniczy morderca. Najpierw śmiertelne strzały padają na Dworcu Warszawa Główna. Potem akcja przenosi się na prawą stronę Wisły. Kolejny trup na stacji Warszawa Wileńska. Z kolei w wykopie na Mokotowie odkryto czyjeś zwłoki. Czy coś łączy te trzy sytuacje? Kapitan Szczęsny, jeden z asów Komendy Stołecznej Milicji, staje przed najtrudniejszym zadaniem w swej karierze...

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Za dużo kobiet”

Jerzy Edigey

„Uparty milicjant”

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Za dużo kobiet” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1986. Co łączy pracownika spółdzielni krawieckiej i estradową szansonistkę, poza nagłą śmiercią? Jakby dwóch trupów było mało, mamy jeszcze aferę szpiegowską oraz narkotykową. Na okrasę zaś cały tłum kobiet zaciemniających milicji drogę do prawdy. Całe szczęście major Stachurski z kontrwywiadu to spec jakich mało. Sprostaj każdemu wyzwaniu.

Powieść Jerzego Edigeya „Uparty milicjant” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Głosu Pracy” w roku 1980.

Jak wynika z tytułu, ważną cechą dobrego milicjanta jest upór. Czasem śledztwo może ciągnąć się latami. Tak właśnie było w przypadku tajemniczego zaginięcia w Kętrzyńskim. Mianowicie zawieruszył się pewien mężczyzna po weselu. Milicja nie dała wiary sugestiom, jakoby zaginiony wyjechał w Kieleckie i tam zszedł z pola widzenia organów ścigania. Latami trwa zmowa milczenia w rodzinnej wsi. Milicja jednak na wszystko znajdzie sposób.

Helena Sekuła

„Złoty blues”

Jerzy Edigey

„Czek dla białego gangu”

Warszawska afera cementowa zatacza coraz szersze kręgi. Milicja wyłapała już prawie wszystkich i właśnie wtedy w Alei Szucha zostaje napadnięty pracownik prokuratury.

Nieznany sprawca kradnie niezwykle cenny tom akt, do którego dołączony był czek na 80 tys. dolarów - należność za opchnięty na lewo transport szybkoschnącego cementu 404.

Tę piekielnie trudną sprawę dostaje major Stanisław Krzyżewski. Właśnie zakończył w Zambrowie sprawę pewnego kowala. Afera cementowa to sprawa zupełnie innego kalibru.

Wygląda na niezły kopniak w górę. Czy major sprosta wyzwaniu?

Wznowienie pierwszej opublikowanej książkowo powieści Jerzego Edigeya - smakowita lektura nie tylko dla wielbicieli kryminałów, ale również dla miłośników Warszawy.

Major Stefan Korosz znowu w akcji. Tym razem as oficerów śledczych Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej musi zmierzyć się z gangiem przemytników i wyjaśnić co się stało z drogocenną kolia oraz kogo i dlaczego pchnięto nożem w portowej knajpie. Oczywiście tam gdzie Korosz, tam i piękna, tajemnicza modelka. Czyżby miała coś wspólnego z kryminalną aferą?

Legendarna powieść Heleny Sekuły „Złoty blues” po raz pierwszy ukazuje się w formie książkowej. Dotąd publikowana była jedynie w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1961.